

# DZIS: JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 27 lipca 1947 r.

Nr 30 (87)

TREŚĆ NUMERU: Z poezji młodej Łodzi, Ks. J. Salamucha, — Oblicze miłości, St. P. — Jeszcze Częstochowa, J. Dobraczyński — Nazaret, St. Podlewski — Przemarsz przez piekło, Z zagadnień gospodarczych — sprawa mieszkań.

Walenty Majdański

# IMPERIALIZM MIŁOSIERDZIA

### DWA DOKUMENTY

W związku z problemami rodzinnymi, o których pisuję w prasie, otrzymuję sporo listów. Ostatnio przyszedł list, by zaopiekować się pewną dziewczyną ze sfer inteligentkich będącą w ciąży. To zbliżyło mnie znów — do księdza Ziei, twórczego i prawdziwego apostoła miłosierdzia. Słyszałem bowiem, że zainicjował on otwarcie domu dla takich właśnie, jak owa dziewczyna, matek, ale nie miałem o tym bliższych danych. Otrzymałszy je, spieszę się podzielić tym, co zdobyłem.

Przede wszystkim prezentuję dokumenty. Pierwszy: odezwę Zarządu „Domu Matki i Dziecka” Oto jej treść:

„Do wszystkich Duszpasterzy, Wychowanków, Lekarzy i Położnych w Polsce.

Podając w załączeniu zarys organizacji instytucji opiekuńczej pod nazwą „Dom Matki i Dziecka” w Słupsku, uprzejmie prosimy o kierowanie do nas kobiet, spodziewających się dziecka, a zostających w trudnej sytuacji życiowej i dlatego kuszonych do zabicia w sobie poczętego płodu.

Nie odmówimy przyjęcia żadnej kobiecie, która woli zostać matką nawet w tych trudnych dla siebie warunkach, niż ułatwiać sobie życie, odbierając życie swemu dziecku.

Słupsk, dnia 14. IX 1945 roku. Za Zarząd „Domu Matki i Dziecka” Aniela Urbanowiczowa,

kierowniczka”

Tyle odezwa. Uprzejmie przy tej okazji zapytuję świat lekarski, pielęgniarki, akuszerki, dyrekcje szpitali, klinik przychodni, oś rodki „Matki i Dziecka”, oddziały Czerwonego Krzyża i „Caritasu”, urzędy stanu cywilnego, duchowieństwo wszelkich wyznań, szkoły położnych, pielęgniarek i wydziały lekarskie: kto zna ową odezwę? kto umieścił ją u siebie na widocznym miejscu?

Drugi dokument: „Zarys organizacji instytucji opiekuńczej pod nazwą „Dom Matki i Dziecka”, zawierający 14-e punktów. Broszura refika o 4-ch stronach typu kieszonkowego. Przytaczam choć kilka punktów.

Punkt I: „Dom Matki i Dziecka w Słupsku jest zaczątkiem instytucji planowanej na rozrost i rozwój”.

Punkt 4: Zadaniem D. M. i D. jest otoczyć wszechstronną opieką każdą kobietę spodziewającą się potomstwa, ale nie mogącą urodzić i wychować swego dziecka w normalnych warunkach rodzinnych i dlatego kuszoną z różnych stron do zabicia płodu.

Punkt 5: „Dom Matki i Dziecka

będzie przyjmował wszystkie kobiety, spodziewające się potomstwa, i zostające w wyżej opisanych przykrych warunkach bez względu na stan cywilny kobiety-matki (mężatka, wdowa, czy niezamężna) i bez względu na okoliczności zajścia w ciążę (w akcie świadomym i dobrowolnym, w nieświadomości, czy w gwałcie), uważamy bowiem, że każdemu poczętemu życiu ludzkiemu należy się ze strony społeczeństwa szacunek, opieka i rzetelna pomoc”.

Punkt 7: „Dom Matki i Dziecka obowiązywać będzie najściślejsza dyskrekcja co do nazwisk matek, przebywających w zakładzie i okoliczności, które je do Domu Matki i Dziecka przyprowadziły”.

Punkt 8: „Kobieta spodziewająca się potomstwa w okolicznościach i warunkach wyżej podanych, będzie mogła przebywać w Domu Matki i Dziecka w okresie przedporodowym i poporodowym tak długo, jak to będzie niezbędne dla niej i dla jej dziecięcia”.

Punkt 9: „Dziecko urodzone w Domu Matki i Dziecka będzie mogło pozostać pod opieką zakładu aż do swej pełnoletności, jeżeli matka lub oboje rodzice nie zabiorą go do siebie”.

### W KAŻDYM POWIECIE... DOM ZE SŁUPSKA

Powstałe punkty „Zarysu organizacji” przeczyta każdy, kto po-

prosi zarząd „D.M. i D. w Słupsku, by mu przysłano ów „Zarys”. Chodzi tylko o to, czy ową broszurkę o czterech kartkach wydrukowano w Słupsku w milionie egzemplarzy. Dlaczego aż tyle? Bo ilość Polek, kwalifikujących się do takich domów, jak w Słupsku, jest w Polsce nieprzebrana i stale rośnie grzech hańbi ale macierzyństwo uświęca. Kobieta od czasu gdy poczuła się matką, jest świętością. Nosi ona w swym łonie człowieka absolutnie niewinnego i bezbronnego absolutnie, na którego to człowieka w dzisiejszym klimacie obyczajowym i przy dzisiejszym nieuświadomieniu, tchórzostwie i wygodnictwie kobiet — czyha zewsząd śmierć: okrutna śmierć takiego dziecka, bez chrztu jeszcze w łonie matki. A na taką matkę — w tymże klimacie obyczajowym i z tych samych przyczyn nieuświadomienia, słabości charakteru u kobiety współczesnej czyha pokusa, by popełniła czyn pełen ohydy: by zabiła własne dzieciątko, nim się zdąży ono urodzić. Począć dziecko można nielegalnie, ale od chwili poczęcia — nielegalnym jest wszystko co prowadzi do zabójstwa dziecka — legalnym wszystko co prowadzi do wydania go na świat.

I jeszcze kilka faktów: mamy obecnie czasy świadomego dawania życia. W takich czasach rozwią-

łość rośnie, zwłaszcza wśród młodzieży. Ilość ciąży przedślubnych obejmuje obecnie, jak twierdzi prasa angielska z roku 1947, w... zrównoważonej Anglii z Walią około 25% dziewcząt; o Szwecji podawano w roku ubiegłym w naszej prasie ilość urodzeń nieślubnych na 50% ogółu urodzeń. Jak jest w Polsce? Jedna z poradni lekarskich jednego z naszych miast uniwersyteckich notuje w roku bieżącym, że wśród akademikzek zgłaszających się do poradni — 80 % jest w ciąży.

I tak dalej. I dalej. Można by tom o tych sprawach napisać. Co więcej: szereg lekarzy-specjalistów chce mi służyć materiałami do kilku takich tomów. Jednak streszczajmy się. O co chodzi? O miłosierdzie względem dziecka nienarodzonego. Względem setek tysięcy, milionów dzieci nienarodzonych, które inaczej pomrą w tym roku i najbliższych latach okrutną śmiercią oraz bez chrztu. Chodzi o miłosierdzie względem setek tysięcy, milionów Polek; względem każdej matki ciężarnej, kuszonych do dzieciobójstwa. Ilość tych dzieci? ilość tych matek? Powiedzieliśmy: ogromna. A więc dom w Słupsku, to zaczątek. Dom taki dziś jest konieczny w każdym powiecie. Co najmniej. Rozumie my teraz, czemu punkt I wyżej wymienionego „zarysu organiza-

cji” opiewa: „Dom Matki i Dziecka w Słupsku jest zaczątkiem instytucji planowanej na rozrost i rozwój”.

### NA MIARĘ POWSTANIA.

Wiem że mnóstwo lekarzy obrzy się na to, że przede wszystkim miłosierdziem trzeba się kierować wobec dziecka nienarodzonego i matki ciężarnej. Wysuną inne motywy: względ na fizyczne zdrowie matki oraz interes państwa, polegający na tym, by dzięki ratowaniu dzieci nienarodzonych przybywało więcej pracowników i żołnierzy. Nie jest tajemnicą, że ja te motywy stale wysuwam: zwłaszcza wobec materialistów i „państwowców”. Ale przyznam się, że nie to stanowi główną siłę, która mnie pcha od lat 10-ciu, bym bronił życia dzieci nienarodzonych. I również nie byłoby „Domu Matki i Dziecka” w Słupsku, gdyby ci, co go założyli i prowadzą, nie kierowali się miłosierdziem. Oto kilka zdań wziętych żywcem ze Słupska: „Służymy człowiekowi. Opiekujemy się zyciem ludzkim. Dopomagamy matce do nabrania sił duchowych i sprawności zawodowej. Mielibyśmy i mamy matki z całej Polski, ze wszystkich warstw społecznych. Mówienie o „populacji” po to tylko, żeby było w razie potrzeby dużo żołnierzy, mierzi mnie jako obrzydliwy faryzeizm. Ratuujemy życie ludzkie dla życia: dla Boga — ze względu na Boga i Jego wolę. Przyjmujemy każdą kobietę o każdej porze dnia i nocy, nie stawiając jej żadnych warunków”.

A teraz pozornie inna sprawa. Powie ktoś: „Zdemoralizujecie tymi „domami” młodzież, bo jeśli tych domów będzie wszędzie pełno, to każda dziewczyna pozwoli sobie na dziecko”. Na to odpowiadamy: nie od budowy takich domów zaczęły się masowo w Polsce... ciąży kobiet niezamężnych. Cięższe te są masowym zjawiskiem, lecz domów takich brak. Uwaga Ostrożniejsi jest słuszna częściowo. Chodził mianowicie o takie „domy matki i dziecka”, gdzie otaczano by matki niezamężne itp. kobiety oraz ich dzieci — opieką i jednocześnie oddziaływano by na takie matki w duchu chrześcijańskiego miłosierdzia. Takie oddziaływanie, rzecz jasna nie wychowywa tych matek na... „zawodowe” matki nieślubne. Czyli i takie domy jak w Słupsku, czy to państwowe, czy nie, wtedy tylko będą w pełni pożyteczne gdy będzie panował w nich klimat chrześcijańskiego miłosierdzia. Tylko tak wychowawca matka nauczy się na-

### Wytyczne

# REALIZM

Tocząca się od dwóch lat dyskusja w społeczeństwie polskim na temat właściwej postawy politycznej wyodrębniła realizm i romantyzm. Pojęcia te przeciwstawia się sobie utożsamiając romantyzm z kierowaniem się w działaniu bezkompromisową ideologią, wiarą, wielkością sprawy. Jednocześnie z polityki realizmycznej uczyniono linie kompromisową, pełną rezygnacji, zgadzania się z silniejszym i niewiary w jasną i wielką przyszłość

Tego rodzaju ujęcie jest z gruntu fałszywe i złośliwie tendencyjne. Któż bowiem przy takich określeniach chciałby być politycznym realistą? Niewątpliwie człowiek nie wiele wart. Ocena ta zresztą zgadza się z nastawieniem dużej części społeczeństwa, gdzie określenie realista ma ujemną barwę uczuciową.

Tymczasem wydaje się nam, że realizmyczna jest polityka, która opiera się na przewidywaniu rozwoju sytuacji oraz na wyliczeniu skutków zamierzonego działania własnego. Polityka realizmyczna wymaga dalej, aby skutki własnej działalności politycznej istotnie służyły celom narodowym czy społecznym, a nie były jedynie wyzyciem namiętności własnych.

Polityka realizmyczna wymaga myślenia, intuicji oraz świadomości czemu i komu służy się własną działalnością. Duża część społeczeństwa polskiego nie znosi i nie zna myślenia politycznego. Przy stolach rodzinnych tym samym sposobem mówi się o plotkach towarzyskich czy rodzinnych jak i o wydarzeniach politycznych. Skutki bezmyślnego niedostrzegania całego ogromu odpowiedzialności intelektualnej, który mieści się w pojęciu polityki, są nam aż nadto dobrze znane z własnej historii.

Określenie realizmyczne zawsze będzie stanowić najwyższą pochwałę dla prawdziwie wielkiej, skutecznej linii politycznej.

wego obowiązku na nasze czasy; kochać dziecko nienarodzone; tak kochać, jak się kocha dziecko już urodzone. Wychowana do takiej miłości kobieta — nie odważy się na grzech.

Widmo bowiem poronienia... zachęca do grzechu. Ale perspektywa: urodzenia i wychowania dziecka: nie zachęca. Odstrasza. Z drugiej strony taka kobieta, jeśli nawet ponownie upadnie, nie zabije dziecka lecz tym gorzej kochać je będzie im bardziej ono z tych, czy innych względów, miałoby w przyszłości czuć się nie-szczęśliwe.

Na razie jest faktem, że setki tysięcy dziewcząt zachodzi u nas w ciążę i że najczęściej rozwiązują to... dzieciobójstwem. Wobec tego pierwszym odruchem chrześ-

cijańskiego miłosierdzia winno być nie faryzejskie mędrkowanie, lecz realna pomoc tym dziewczętom w wydawaniu ich dzieci nieślubnych na świat — dyskretnie: by nie niszczyły swego zdrowia, by nie chańbiły się zbrodnią. Jednocześnie jest to ratowanie dzieci nienarodzonych. — A więc: setki „Domów Matki i Dziecka”, prowadzonych w sposób fachowy i katolicki, to dziś konieczność jedna z najgwałtowniejszych.

Równoległe iść powinna akcja wychowania ogółu dziewcząt do należytego poziomu moralnego, podnoszenie klimatu obyczajowego narodu, setki reform państwowych i specjalnych akcji społecznych zmierzających do uzdrowienia życia rodzinnego. Odrodzenie narodu!

Owóż akcji na taką skalę nie umie u nas nikt wywołać, ani nikt nie próbuje zorganizować. A przecież organizator miałby tu do dyspozycji **serce polskie**. Ludzie nieśluby na tę akcję miliardy złotych, wyżywaliby się zaś w niej tak żywiołowo, jak dziś w pijan- stwie i ropucie, jak w lipcu, sierpniu i wrześniu 1944 roku — w insurekcji warszawskiej. Bo rosnącej jak lawina rozwiązłości i alkoholizmu nie powstrzyma się... tłumaczeniem, że to niezdrowo. Nasz naród jest uczuciowy. To nieprawda, że społeczeństwo tylko wtedy się wykołaja, gdy nie ma pracy zarobkowej, zawodowej: naród musi mieć także **roboty dla serca**. Wielkie duchowe roboty. Jeżeli naród nie ma takich robót, to wpa-

da w szal o negatywnej wartości. Otóż nie posiadamy takiego CUP-u, który by planował roboty duchowe dla narodu.

#### ORGANIZOWANIE SERCA NARODU.

Nie mamy człowieka, instytucji, która by w Polsce powojennej zorganizowała serce narodu. A tylko na tej drodze zamiast rozpijać się, rozładacząc i czekać nie wiadomo na co — ująby naród swój los we własne ręce i z kosmiczną siłą rozpełtały społeczno - wychowawczą akcję nad odrodzeniem narodu pod sztandarem miłosierdzia chrześcijańskiego. Chrześcijaństwo bez miłosierdzia daje tyle, co reformy społeczne bez miłosierdzia. Pracownicy społeczni, sprawiedli-

wość i reformy społeczne — bez miłosierdzia — działają tylko w stylu bomby atomowej. W epoce bomby atomowej musi być rozładowana energia miłosierdzia na miarę boską: pod tym warunkiem zachowa równowagę ludzkość atomowa. Naród obecnie musi mieć dla swego bezpieczeństwa odpowiednią ilość bomb atomowych i miłosierdzia. Jedno i drugie. Atom i miłosierdzie. Fizyka i Łaska. Natura i nadnatura. Powinien powstać odpowiednik „Miasta atomowego” — „Miasto Miłosierdzia”. Aliści na razie nie mamy ani miasta atomowego, ani miasta miłosierdzia: jesteśmy bezbronni, USA mają miasto atomowe, nie mają miasta miłosierdzia.

Walenty Majdański

## Z poezji Młodej Łodzi

ANDRZEJ WIRTH

### Ogrodek

Z jednej strony szumem pociągu, z drugiej ogrodzony białą chatą, co zna swą białość we dnie i w nocy, z trzeciej wystrzelił śmiało murem lasu, a czwartej nie ma; w górze śliwy i bzy wrastają w te nieba codzień inne i codzień wchodzi furtką z tyłu niby spóźniony złodziej żółte słońce i kształt swój złoty, oślepiający na drobne zmienia monety, by błyszczące, krągłe talary wisząc na krzakach coraz radośnie pęczniały dojrzałością. Niepokonany łączy więc usta czar niedokonanych dotąd rzeczy. —

JOZEF SZCZAWINSKI

### Miasto

Nie rozplątuję zmarłych godzin węzłów dni wplątanych w przyszłość, od kiedy miasta krzyk mnie zrodził i przebudzeniem o bruk cisnął.

Czas przeoruję, pachnie miasto skibą i chlebem. Z aluminium wykuty księżyc w wieże wrasta cedząc minuty-krople płynu.

Leniwie krąży szept milczenia żyłami ulic w śnieżnej pleśni. Pulsują w górze gwiazdy drgnieniem wielkich i małych ludzkich nieszczęść.

Zgubionych świateł nikły płomień przez mętne szyby sączy przestrzeń. Na niknącego dnia przelomie czas odnalazłem w śpiącym mieście.

JOZEF SZCZAWINSKI

### Chwila

Potknąłem się o uśmiech. Świat rozmiary zmniejszył. Cel do którego biegłem rysuje się mglisto. Nie wiedziałem szykując skok przez rzeczywistość, że sercem tak głęboko wrostem w dzień dzisiejszy.

Kiedy od chwil minionych uczucia odgródzę a sens dni przeżywanym rozprowadzę w cieniach, znajduje zawsze szkiełko uśmiechu na drodze żywym portretem słońca lśniącego na kamieniach.

ANDRZEJ WIRTH

### Dziwy nieba

W ogródku, gdy leżąc na trawie spoglądę: codzienne śliwy, bzy i pomidory w pogodny pną się niebo. Niesyte błękitu wyrosły jak z wąskiej uliczki gotyk — nad sosny. Mrużę oczy, w sercu obawa, że niektóre tyczki najsmielszej fasoli zawadzą o chmury. Więc rośnie we mnie, babim latem się nawija świecista radość sterczącego w słońcu kija.

JOZEF HERTEL

### Kształt wyzwolony

Twarz nagiej zimy, Oczy napełnione dalą. Niedosyt blasku — Na czole martwe strumienie Stają... cisza... Pragnienia! —

Grzmij symfonio niewolona! Witaj! Białą stań na purpurze! Palcami ostrymi przetrzel niebo! — Już chlunął uśmiech.

WACŁAW OLSZEWSKI

### Wiersz z liryczna pointa

I.

Dni się dziś toczą autostradą, asfaltem, kostką i betonem — lśniąca nawierzchnia, lśniący wiaduk, popod drutami telefonu.

Gdy oczy przymkniesz, dni zawrócisz w drogi rozmokłe seledynem — wróci dzieciństwo, przeszłość wróci odbita w błotnych koleinach.

II.

Dni się dziś ciągną za traktorem I przelewają w równe skiby, w superfosfatach zniknął sporysz, wiatrak żniwiarek kręci lipiec.

Gdy oczy przymkniesz — senna przystań, sierp srebrny w dłoni, wąski wygon i gniewny w przyszłość okrzyk: „wiśta!” i woń NH<sub>3</sub> — obornika.

III.

Dni się zlewają w jeden motyw: W pęd autogira, w obrót śmigła, by potem dymem lokomotywu błędąc na formy niezastygłe.

Gdy oczy przymkniesz — zmlknie motor, staniesz w środku sennej ciszy, gdy oczy przymkniesz — jeden motyw: Skowronek cicho się kołysze.

IV.

Dni się dziś rodzą w ciszy niemej próbówek, mędrków: uczonych — i śni akuszer — biały chemik i żywe w kolbach śnią embriony.

(Drogi rozmokłe, śpiew skowronka) — każ chemikowi — akuszerce (plug jednokonny — słowem mrzonka) uderzyć w szklane kolby — sercem.

Młodzi poeci — studenci Uniwersytetu Łódzkiego, których czytelnicy mieli możliwość poznać z utworów, zamieszczonych w czasopismach literackich — „Warszawa” i „Arko-na”, prezentują indywidualną postawę twórczą, wyrosłą nie z izolowanej kontemplacji świata, ale z poszukiwań, jaki dać wyraz artystyczny własnym przemyśleniom problemów wyrosłych na tle współczesności.

Józef Hertel formuje materiał swych wierszy zasadniczo dwuwarstwowo: świat zastany ulega przetworzeniu w elementy liryczne, dostrzegane przez autora jako równoważne, a często i nadrzędne w stosunku do tego, co przyszło z zewnątrz jako materiał. W utworach tych dominuje nastrój poważnej refleksji, z lirycznego opisu wypływa silny akcent społeczny, a tony czysto liryczne przesycane są świadomym humanitaryzmem.

Utwory Andrzeja Wirtha mocno przemawiają zawartą w nich siłą witalną, subtelnym wyczuciem nie tyle piękna przyrody, ile oryginalnością związków i kształtu zjawisk świata. Kolor, ruch — opisane i przetransponowane na teren bogatych przeżyć psychicz-

nych, zręczne operowanie rymem jako elementem znaczeniowym — oto cechy charakterystyczne tych wierszy.

Wiersze Józefa Szczawińskiego uderzają charakterystycznym załamaniem rytmu strof często klasycznych — w miejscach — w których skondensowana treść uczuciowa rozrywa niejako naturalną potoczność frazy. Utwory to niespokojne siłą wypowiedzianych akcentów społecznych, bogactwem poetyckiego słownika, nieoczekiwanością skojarzeń i szeroką skalą narastających metafor — których celem nie jest poetyckie zdobnictwo, ale spotęgowanie pasji wypowiedzianych treści myślowych.

Odrębna postawę posiadają utwory Wacława Olszewskiego. Pozorny spokój opisu i relacji przyska pod naporem ironii, satyry, a nawet sarkazmu. Wiersze te świadomie rezygnują z wszelkich lirycznych uogólnień, sięgają po tematykę publicystyczną w najlepszym tego słowa znaczeniu, demaskują obtudę i fałsz prawdziwego wstecznicstwa i postępują się nie tradycyjną bronią satyry — humorem, ale poważną i skuteczniejszą metodą brutalnego nierz ukazania karykaturalnego kształtu „ginącego świata”.

Ks. Jan Salamucha

# OBLICZE MIŁOŚCI

Artykuł poniższy został napisany przez ks. Jana Salamuchę dla tygodnika podziemnego „Walka”, i był w nim opublikowany w nrze 49 z dnia 25 grudnia 1942 r. W prostych, zwięzłych słowach, nawiązując do święta Bożego Narodzenia, wielki uczonej konstruuje oryginalną, własną teorię miłości. W artykule brzmią jeszcze echa jego własnych wspomnień obozowych (przebywał przez 16 miesięcy w Dachau i w Sachsenhausen).

Przez akt swojej miłości dał Bóg początek nowej erze religijnej; chrześcijańska koncepcja życia każe nam przez miłość Boga i świata dążyć do Boga, jako celu ostatecznego: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli Twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jak samego siebie”. Obco to brzmi w dzisiejszym wojennym zgiełku. To, co obecnie przeżywamy, wywołuje zamęt groźny w naszej świadomości chrześcijańskiej. A ewangelie mówią wyraźnie nawet o miłości nieprzyjaciół: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze, dobrze czyście tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladowającymi i potwarzającymi was...”. Czy to nie rozbrojenie wewnętrzne i zewnętrzne? Czy nie trzeba miłości utopić w odmętach nienawiści, żeby nie zatracić koniecznej siły bojowej? Zresztą, czy w ogóle można zachować uczucie miłości, choćby za cenę ofiary z własnego cierpienia, w tych beznadziejnych odmętach nienawiści? Czy chrześcijaństwo nie musi choćby na pewien czas zamilknąć, żeby potem, kiedyś może, kiedy płomienie jednej nienawiści falą innej nienawiści doszczętnie stłumione zostaną, na gruzach tak potwornego zniszczenia, z nową odżyć siłą? Ale cóż to za doktryna, która w ciężkich sytuacjach zawodzi i odsuwana być musi? Czy mamy naprawdę poddać się uczuciom nienawiści, żeby gwałt gwałtem odeprzeć?

W łatwych a nieskomplikowanych sytuacjach nawet powierzchowne rozumienie pewnych hasel kierowniczych wystarcza. W sytuacjach trudnych trzeba się głębiej wkozać w ich treść, bo inaczej łatwo się zgubić. Spróbujmy rozplątać trochę pewne zdrowe skądinąd sugestie, które słowo „miłość” ze sobą niesie.

Jest miłość egoistyczna, skierowana ku sobie, i jest miłość altruistyczna, skierowana ku czemuś, czy ku komuś poza sobą. Miłość chrześcijańska nie jest miłością egoistyczną. Mówi się co prawda w ewangelii o miłowaniu bliźniego według miłości własnej, ale mówi się jednocześnie o wyrzeczeniu się swoich własnych interesów. Jest miłość altruistyczna płaska, dwuwymiarowa, która przeciwstawia jednostce ludzkiej wszystko, co jest poza nią. I jest miłość altruistyczna wielowymiarowa, która w różnych kierunkach wyznacza różne napięcia i różny stopień obowiązków pomocy i obrony. Miłość altruistyczna płaska albo jest tak nadludzko mocna, że zatrzymuje i rozprasza wszelką falę nienawiści, albo jest wobec nienawiści bezbronna: po ludzku rzeczy biorąc, człowiek idący w życie z miłością altruistyczną płaską, albo ginie pod naporem potężnej fali nienawiści, albo też, miłość odrzucając, nienawiścią na nienawiść odpowiada. Miłość altruistyczna płaska tylko w wymiarach nadludzkich — podkreślamy — zdolna jest oprzeć się skutecznie fali nienawiści. Zupełnie inaczej kształtuje się nasza postać życia, jeżeli nosimy w sercu miłość altruistyczną wielowymiarową. Wtedy miłość nas zmusza czasami

(niech się jagnięco wzniosli pacyfiści nie gorszą nawet do zabijania innych — i zawsze w imię jakiejś miłości, przy jednoczesnym świadomym uwalnianiu się od jakiegokolwiek nienawiści. Po prostu jeżeli ktoś, z kim mnie łączą mocniejsze więzy miłości, zagrożony jest przez kogoś innego, względem którego mam daleko mniejsze obowiązki, to będę w pewnych warunkach nawet zabijał w obronie spraw umiłowanych — właśnie w imię tej miłości.

Pacyfiści wszelkiego autoramentu głoszą miłość altruistyczną płaską i dlatego tak beznadziejnie rozbrajają wszelkie siły oporu — trzeba by mieć siły nadludzkie, żeby pacyfistycznie świat porządkować.

Narodowy socjalizm i faszyzm wyznają miłość narodową egoistyczną, a więc tylko rozszerzoną z jednostki na jedną grupę, miłość altruistyczną dostrzegli ich myślowi przywódcy tylko w sosie pacyfistycznym jako miłość altruistyczną płaską i dlatego Mussolini i Goebbels w historycznym zdenerwowaniu przed zbierającymi się nad ich głową chmurami tak bezczelnie mówią o nienawiści jako jedynym źródle siły bojowej. Niedouczeni wodzowie Osi, zagrożeni niebezpieczeństwem, brutalnie odrzucają hasła kulturalne, których treści nigdy nie rozumieli, a liczili się z nimi do czasu tylko ze względów taktycznych; teraz wprost sławią nienawiść jako jedyne źródło siły, zdradzając tym sromotnie swoje nieuctwo i swoje barbarzyństwo.

Miłość chrześcijańska nie jest jednowymiarową miłością egoistyczną i nie jest miłością altruistyczną płaską, miłość chrześcijańska jest wielo-

wymiarowa — takie zarysy dały jej ewangelie i tak ją rozbudowuje rozwijająca się ciągle świadomość chrześcijańska. Miłość chrześcijańska obejmie wszechświat cały, z Bogiem jako najwyższą wartością włącznie, ludzi wszystkich, nawet tzw. nieprzyjaciół, to jest tych, którzy nas niszczą i prześladują — ale miłość chrześcijańska w różnych kierunkach i na różnych odległościach stwarza różne napięcia, wyznacza bogato zróżnicowaną skalę obowiązków. Im mocniejsze są związki krwi i ducha, tym silniejsze powstają napięcia miłości. Kochać powinienem wszystkich ludzi, ale mocniej kocham tych, z którymi ściślej jestem związany. Obca mi jest jakakolwiek nienawiść grupowa czy narodowa, ale nie jestem obojętnym na sprawy swego narodu członkiem międzynarodówki. Czuję w swej świadomości związki kulturalne ze wszystkimi narodami świata, tym żywsze, im bogatsza jest moja świadomość, z różnymi, oczywiście, różnymi, ale najściślej związany jestem z własnym narodem, bo to jest mój rozszerzony dom, w jego atmosferze wzrastałem i rozwijałem się, z początku do duszy swej brałem tylko to, co w tym domu zostało wytworzone, lub doń ze świata szerokiego weszło, a jeżeli później nauczyłem się samodzielnie poza dom ojczyzny sięgać, to w obcym domu byłem tylko gościem i obcy dom był mi zawsze obcym. Zburzenie tego domu ojczyzny jest dla mnie burzeniem mojej rozszerzonej osobowości. Znałe są fakty dobrowolnej zmiany przynależności narodowej na skutek długiego przebywania w środowisku obcym, ale te zmiany tym mniej są bolesne,

im bardziej dobrowolnie zachodzą, a bezboleśnie bodaj nigdy przeprowadzić się nie dają. Nie nienawidzę burzycieli mojego domu ojczyzny, ale bronić tego domu ojczyzny będę do ostatniego tchnienia, nie tylko defensywnie, lecz i ofensywnie — jeżeli roztropność tak mi każe, będę zabijał wrogów, gdy inaczej bronić się nie da, ale ciągle w imię miłości mojej i ciągle będę się bronił przed uczuciami nienawiści, nawet względem nieprzyjaciół. Taką postawę życiową wyznacza mi moja świadomość chrześcijańska.

Wielowymiarowa miłość chrześcijańska jest często zniekształcana przez miłość egoistyczną, która i do serc chrześcijańskich się wciska. Jeszcze częściej bywa zniekształcana przez miłość płaską (dwuwymiarową), której pacyfistyczne hasła działają pociągająco na naszą chrześcijańską świadomość. Niech nam pacyfiści nie przypominają św. Franciszka, który szedł do saracenów bez broni z braterskim pozdrowieniem na ustach. I on nosił w sercu chrześcijańską miłość wielowymiarową, a że w skali nadludzkiej podobna jest ona do miłości dwuwymiarowej, to już jest inna sprawa; podnieśmy naprzód dusze swoje na wyżyny franciszkańskie, dopiero potem możemy skutecznie naśladować jego bojową miłość bezbronną.

Z falami nienawiści łączy się miłość egoistyczna, a w odmętach nienawiści ginie płaska miłość altruistyczna, odmętom nienawiści skutecznie i twórczo przeciwstawia się wielowymiarowa miłość chrześcijańska.

Ks. Jan Salamucha

## W świecie...

### NOWE PLANY STANÓW ZJEDNOCZONYCH

po kilku dniach obrad, przeważnie tajnych, zakończyła się konferencja paryska. Wyniki jej są raczej mizerne. Ustalono dosyć ogólnikowy plan współpracy i w celu jego realizacji powołano do życia specjalny Komitet Wykonawczy. Poza tym szereg pism amerykańskich, angielskich i francuskich entuzjastomów się atmosferą niezwykle podobno serdeczności i karność jaka panowała na konferencji.

Jednocześnie wypada zwrócić uwagę na kilka oficjalnych oświadczeń wypowiedzianych przez amerykańskich mężów stanu z m.in. Harrimannem na czele. Uważają oni, że pomoc amerykańska winna być nadal udzielana również i tym państwom europejskim, które nie wysłały swych reprezentantów do Paryża.

Konferencja wykazała dostatecznie, że Ameryka będzie dążyć do odbudowy gospodarczej Niemiec, uważając Niemcy za niezbędny czynnik w europejskiej wspólnotie zniszczonych wojną krajów.

W tym też duchu utrzymane są nowe dyrektywy przeznaczone dla amerykańskich władz okupacyjnych w Niemczech, które zastąpią odtąd znany rozkaz Eisenhowera wydany w kwietniu 1945.

Opinia polska jest nieco zaniepokojona tymi planami Stanów Zjednoczonych. Wiele jednak wątpliwości powstałych z zupełnie słusznych powodów, rozproszył nowy ambasador U.S.A. w Warszawie p. Griffis.

W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy polskiej powiedział on między innymi, że opinia amerykańska nienawidzi dotychczasowe systemy rządzenia na równi z opinią polską i że nie ma mowy o jakimkolwiek odrodzeniu niemieckiej potęgi. Amerykanie uważają jednak, że tylko dzięki odbudowie gospodarczej Niemiec osiągnie się równowagę ekonomiczną w całej Europie.

Poza tym p. Griffis złożył oświadczenie, zaakcentowane bardzo dobitnie, że wierzy mocno w ostateczne uregulowanie kwestii naszych granic zachodnich po myśli narodu polskiego. Charakterystyczny jednak wydaje się fakt, że p. Griffis uważa problem granic zachodnich za otwarty.

Reasumując powyższe spostrzeżenia wypada stwierdzić, że wierząc szczerze w dobrą wolę Amerykanów, trudno nam rozumować podobnymi kategoriami jeśli chodzi o zagadnienie niemieckie. P. Griffis powołując się ciągle na amerykańską opinię publiczną, zaznaczył jednak że prawdę o Niemczech znają w U.S.A. tylko ludzie, którzy stykali się bezpośrednio ze sprawami międzynarodowymi a tych jest zdaje się niewielu.

Ciekawe przy tym, że angielskie koła rządowe odnoszą się z pewną rezerwą do nowych amerykańskich planów dotyczących Niemiec. Jak dotąd bowiem Anglia ponosiła znaczne ciężary w związku z wyżywieniem Niemiec. Rozbudowa przemysłu w strefach okupacyjnych może wymagać od Anglii dalszych ofiar, a przecież sytuacja żywnościowa wyspy pozostawia wiele do życzenia.

Jak z tego wynika daleka jeszcze droga do definitywnego uregulowania problemu przyszłości Niemiec.

## Na widowni

# JESZCZE CZĘSTOCHOWA

Ku wzgórzu Jasnogórskiemu nieprzerwanie płyną ze wszystkich stron strumienie ludzi idą za krzyżami, pod chorągwiemi kościelnymi, sztandarami, kroczą uroczysto z paradą dziewczęta w białej, kobieciny; uginają się pod tobołkami i zawiniątkami. Od świtu do późnej nocy nieustannie rozbrzmiewają po ulicach i alejach dźwięki ludowych kapeli i śpiew starych pieśni maryjnych: „Ave, ave, ave Maryja, ?”

Od wielu lat patrzę na tych pielgrzymów i stwierdzam, że warunki ich pobytu w mieście nie uległy najmniejszej poprawie, a nawet przy takim ogromnym napływie pogarszają się.

O.O. Paulini zrabili wiele, aby poprawić warunki pobytu i dać pewną wygodę pielgrzymom. Najwięcej dawały się we znaki niesamowity tłok i ścisk w bramach klasztornych, w przejściach i w cudownej kapii. Zostało wybudowane drugie wejście wprowadzono ruch jednokierunkowy poszerzono cudowną kapić. Zrobiono osobne wejście do skarbcza, wzniesiono obszerną spowiednicę, a w latach 1920 — 27 wybudowano na dawnym cmentarzu fortocnym kaplicę i krużganki do udzielania Komunii Św. Bez przerwy może być udzielana jednocześnie Komunia Św. przez 15 kapłanów.

Z wielkim nakładem kosztów wybudowali O.O. Paulini w pobliżu murów klasztoru nowoczesny „Dom Pątników”. Otwarty był on przez cały rok. Przeznaczony przede wszystkim dla duchowieństwa, inteligencji, ludzi nauki i sztuki. Znajdowali oni tutaj spokój, najlepsze warunki i atmosferę dla modlitwy. W czasie wojny dom zostaje zajęty przez Niem-

ców, a po odzyskaniu wolności Zarząd Miejski zainstalował tutaj szpital poiozniczy. Dotąd „Dom Pątników” nie może spełniać zadania, do którego został przeznaczony. Mimo woli nasuwa się pytanie, a co zrobiły dla pielgrzymów Zarządy Miejskie? Niewiele. Zniwelowano teren podklasztorny i posadzono drzewa, i to chyba wszystko.

Dotąd warunki higieniczne pielgrzymów urągają najprymitywniejszym wymogom higieny i zdrowotności. W dzielnicy podklasztornej nie ma dotąd ubikacji. Wielotysięczne rzesze zalegają swoje czynności fizjologiczne gdzie popadnie, po parkach miejskich, po podwórzach, na ulicach...

Można sobie wyobrazić wygląd terenu podklasztornego po odpływie takiej wielkiej fali pielgrzymów.

Trzeba przyznać, że w tej sprawie już coś zrobiono. Izba Przemysłowo-Handlowa, w Częstochowie, wydzierżawiła od Zarządu Miejskiego, „Koszary Zawady”, aby tam urządzić schronisko na cztery tysiące osób. Będzie to największe w Polsce schronisko. Niedawno uchwalono stworzyć w promieniu Jasnej Góry, w jednolitym domarszu, punkty opatrunkowe i noclegowe.

U stóp Jasnej Góry, gdzie co roku przybywają wielotysięczne rzesze (w ostatnim roku około czterech milionów pielgrzymów), powinna znajdować się „Panorama Racławicka”, pędzla W. Kossaka, Styki i innych, ten wspaniały fragment naszych dziejów, najbardziej związanych z ludem polskim. Oddałaby wielkie usługi, spełniałaby godnie swoje zadanie, niż umieszczona, w którymś mieście na ziemiach

odzyskanych. Ministerstwo Kultury i Sztuki powinno jaknajprzychylniej odnieść się do tego projektu.

Ponadto gród podjasnogórski jest najlepszym miejscem dla urządzania wielkich widowisk teatralnych pod gołym niebem, wspaniale i najlepiej zostałby rozwiązany problem teatru dla mas, krzewienie kultury teatralnej.

Dochodzi do tych niewygod pielgrzymów, zupełnie nieodpowiedni, dworzec kolejowy, wybudowany z górą przed pół wiekiem. Ogromnie dają się we znaki przepełnienie i tłok. Należałoby podjąć jeszcze sprzed wojny myśl wybudowania nowoczesnego dworca.

Przed kilku tygodniami dowiedziałem się, że sprawozdania dr. Wolańskiego, ustępującego prezydenta m. Częstochowy, na posiedzeniu miejskiej Rady Narodowej, że Zarząd Miejski, wystąpił z projektem opodatkowania pielgrzymów. Fundusz ten miałby być zużytkowany na inwestycje w dzielnicy podjasnogórskiej.

Do tego projektu, jak dowiedziałem się, odniosła się negatywnie częstochowska Kuria Biskupia. Nie znany powodów takiego jej stanowiska, jednak całkowicie podzielamy je.

Wydaje się nam, że cały ten projekt jest nieprzemysłany.

Przecież m. Częstochowa ciągnie i tak pokaźne dochody pośrednio z ruchu pontniczego, ze sklepów z dewocjonaliami, ze straganów, stoisk, z domów noclegowych, restauracyjnych — i to jest jedyna godna i dopuszczalna forma zebrania funduszu na inwestycje — każda inna jest absurdem.

ST. P.

**FRANCISZKA** bierzmowana była u SS. Sakramentek w Warszawie. Mały biały kościół w kształcie regularnego krzyża stał w głębi placu zwanego rynkiem Nowego Miasta. W środku placu był zwykle zalany słojem trawnik na który się niespodziewanie wychodziło z za rogu wąskiej ulicy Freta. Na trawniku rosły stare drzewa, a dzieci bawiły się obok nich. Z tewa w głębi strzelała w górę czerwona, ciężka wieża kościoła Panny Maryi.

Nie ma dziś kościoła Panny Maryi, nie ma kościoła Sakramentek. Rynek Nowego Miasta drogo sprzedał swe życie — w słoneczny, upalny czas w czerwonej pożodze płonącej Warszawy..

U tych to Sakramentek 8 czerwca 1855 r. w dzień święta Trójcy Przenajświętszej ks. arc. Fijałkowski bierzmował Franciszkę. „Ponieważ dziadek mój — pisze Franciszka — był w przyjaźni z arcybiskupem... a zarazem dobrodziejem zgromadzenia Sióstr Sakramentek w Warszawie, więc otrzymaliśmy z mamą pozwolenie przejścia za klauzurę i z chóru zakonnice wyszłyśmy na kościół, gdzie ksiądz arcybiskup bierzmował panienki z pensji i inne osoby. Na bierzmowaniu otrzymałam imię Maria, które sobie wybrałam. Była to dla mnie podwójna uroczystość. Nasamprzód wielką mi Pan Jezus dawał pobożność do Ducha świętego, nie umiałam zdać sobie sprawy dlaczego, ale samo wspomnienie Ducha św. przejmowało mnie niewypowiedzianym uczuciem. Tajemnice Ducha św. były dla mnie czymś głębokim, świętym, przejmującym. Przygotowywał mnie o. Leander do tego Sakramentu, lecz jak dziś to widzę i rozumiem Pan mój, Pan jedyny sam dziwnie pouczał mnie, prowadził, dawał rozumienie według zdolności moich i pojęć...“ po wtóre „nowa radość — byłam w klasztorze! Widziałam te mury, te korytarze, ten chór, te zakonnice! To z a w s z e b y ł o m o j e m a r z e n i e !... Lecz mimo pociągu i miłości życia zakonnego jakąś czułam, że ani jeszcze nie nadszedł czas mój, ani to jest miejsce dla mnie...“

Rzecz zdumiewająca jakie wyuczucie swego czasu miała ta dziewczynka! Z biegiem lat pewność, iż powinna być zakonnicą — a jednocześnie świadomość, że z wyborem nie wolno się jej spieszyć, będą w niej wzrastały. Gdy wreszcie zdecydowała, że czas jej nadszedł — będzie już miała 31 lat!

W okresie ciężkiej trzyletniej agonii pomiędzy 1870 a 1873 r. Franciszka wielokrotnie mówi z żalem: „O, choćbym mogła zapalać w piecach w klasztorze, aby tym sposobem służyć Oblubienicom mego Pana!“

Ale jeszcze wcześniej w okresie tuż przed awanturą z ojcem dowiedziała się Franciszka od Leandra o pewnej jego penitencie — o niejkiej Marii Wojewódzkiej, niebywale pobożnej kobiecie, mądrej choć „z niskiego stanu“, która „dla uchowania paniństwa wzrok ciała utraciła“. Franciszka przejęta uwielbieniem dla Wojewódzkiej poczęła sobie marzyć i układać że pójdzie do niej na służbę. Naturalnie — rojenia te pozostały tylko rojeniami. Zresztą niedługo potem Wojewódzka wyjechała do Lublina i tam wraz z innymi pobożnymi a majątymi kobietami założyła coś w rodzaju

Jan Dobraczyński

# NAZARET

Urywek\*

nieoficjalnego zgromadzenia poświęconego opiece moralnej i materialnej nad biednymi dziećmi oraz naśladowaniu ukrytego życia. Matki Bożej w Nazarecie. Do tych to kobiet wrywała się Franciszka — co o. Leander w chwili rozgoryczenia nazwał „przedrwiwaniem“. Kiedy w parę lat później Wojewódzka zmarła, grono pan po niej prowadziła Teodozja Kobylańska, która znowu po swojej śmierci, jak już wiemy, ukazała się bratu Stefanowi. Istniała więc niewidzialna więź pomiędzy inicjatywą pobożnych dam — a osobą Franciszki. Wyrazicielem tej więzi był Leander. On to zgodziwszy się wreszcie z tym, że Franciszka zostanie zakonnicą, podsunął jej projekt zajęcia się inicjatywą pań lubelskich. Wspólnie obmyślili plan otwarcia stowarzyszenia pod wezwaniem Matki Bożej z Loreto, oboje bowiem mieli wielki kult dla cudownego domku, stojącego w laterańskiej katedrze. Franciszka, zabierając panią Siedliską, która zdecydowała się naśladować w życiu zakonnyim córkę — pojechała do Lublina. Tu spotkała się z ostatnimi, żyjącymi jeszcze towarzyszkami Wojewódzkiej, Załoziecką i Niecińską. Porozumiały się szybko.

Ostre jednak prześladowania religijne, jakich świadkiem był w tym czasie rosyjski zabór, przekonały pobożne grono, że o stworzeniu nowego zgromadzenia w Polsce nie ma chwilowo marzyć. Poza tym trzeba się było dowiedzieć czy Stolica Apostolska aprobuje projekt założenia nowego zgromadzenia. Z tą myślą Franciszka wyjeżdża do Rzymu, uzyskuje audiencję u Ojca świętego Piusa IX, który pochwała pomysł założenia zgromadzenia tzw. piętnotnie „Loretanek“. Na wracającą do kraju Franciszkę naciskają francuscy jezuita, pragnąc ją skłonić do połączenia swej inicjatywy z małymi a upadającym z braku środków materialnych zgromadzeniem w Fourviers. Franciszka opiera się — opiera się z trudem — bo jak wiemy ma skłonność do „fałszywej, złe zrozumiałej delikatności“ — i po prostu jest zbyt subtelna, by umieć odpowiedzieć odmową na zrezygnowane i wymowne wywody księży, na dobroć sióstr. Jest to znowu ciężka próba. Z pomocą przychodzi jej choroba kości pancerzowej. Zapadła na nią ciężko. Trzeba było wracać do kraju nie podejmując żadnych wiążących decyzji.

Mineło parę miesięcy. Prześladowania religijne były coraz ostrzejsze. Już arcybiskup Feliński został wysłany na Syberię. Władze zakonne zaniepokojone o Leandra kazały mu wyjechać za granicę. Pojechał do Paryża. Tu zaraz ściągnął za sobą całą czwórkę. Paryż — jak wiemy — zamieniono szybko na Rzym. Ale rzymskie upały uniemożliwiły stały pobyt w wiecznym mieście towarzyszkom Franciszki. Wszystkie trzy musiały wyjechać. Zo stała sama.

Mimo to nie zrezygnowała ze swego planu. W rok potem widzi my ją we własnym domu na via Merulana w towarzystwie... jednej siostry i jednej postulantki.

Via Merulana to szeroka, cieniasta ulica spływająca spod stopni kościoła Santa Maria Maggiore — biegnąca w dół aż do skrzyżowania z via Labicana — na

której horyzoncie rozpięta jest koronka Colosseum — poczynając dalej za kościołem Franciszkanów — wspinać się w górę, by wyprowadzić wreszcie na egipski obelisk i boczne wejście do katedry Santo Giovanni in Laterano — do kościoła, który jest „omnium urbis et orbis ecclesiarum mater et caput“. Jeśli od Colosseum i Esquilinu obok niezapomnianych ruin Forum, obok ohydnych monumentu Wiktora Emanuela II — wiedzie na Capitol oś starożytnego Rzymu — via dell'Impero — droga władzy, to od Santa Maria Maggiore do S. Giovanni in Lateran, ciągnie się oś Rzymu chrześcijańskiego, katolicka via sacra — droga wiary.

Z tarasu tego pierwszego rzymskiego domku widok zwłaszcza wiosną był bardzo piękny. Ale oprócz tego brzęczały tam komary i w następstwie tego brzęczenia Franciszka zapadła na złośliwą malarię. Aby ją „zgnubić“ musiała wyjechać aż do Francji. Zresztą zachorowali także pozostali mieszkańcy domku. Postulantka przekonała się, że brak jej powołania — i odeszła ze zgromadzenia. Nadechały inne z Polski — i także odjechały... Na zimę zgromadzenie wciąż liczyło tylko matkę — założycielkę (Franciszkę) i jedną siostrę (Józefę Rembiszewską), kapelaną (o. Leandra), zakrystiana (brata Stefana). Początki nawet w tak zubożonym dziele nie zawsze są oszalamiące. Raczej powiedzieć trzeba za Franciszkę, że „były bardzo ciężkie i pełne krzyżów“. Trudno, aż uwierzyć, że w 70 lat po tej katastrofie, zgromadzenie liczyć będzie setki sióstr.

Na wiosnę przybyły z Polski trzy siostry Lubowidzkie i ich dwie kuzynki tegoż nazwiska. W wigilię 1877 r. O. Leander dokonał ceremonii obłóczyn. Przybyły więc zgromadzeniu trzy nowe siostry: Michaela, Gabriela i Rafaela, oraz postulantka Tekla-Laurea.

Ale wiosna przynosi znowu malarię. Tym razem także trzeba było opuścić Rzym, po powrocie porzucono domek na via Merulana. Siostry zamieszkały na placu Faanese — niewygodnie, w słonej masie ziemnych, wilgoci podsztych murów rzymskich.

Znowu wiosna — i znowu Franciszka jest chora. Ale nieugięty duch mieszkał w tym słabym ciele. Mimo choroby wciąż pracuje nad swoją trzódka. A poza tym trzodzi się nad ułożeniem przepisów zakonnych.

Nielatwa to sprawa! Nielatwo wywalczyć dla swej idei niezależne stanowisko. Zawsza się sypia się rady, namowy, przekonywania, obskakują wrażliwą i delikatną Franciszkę. Znajomi i nieznajomi, przyjaciele i obojętni naciskają: połącz się z tymi, połącz się z tamtymi, patrz jak pięknie pracują, jaka wspaniała reguła, jakie pole do pracy, ile łask...

Nielatwo jest zachować odrębność. Mimo to 30 kwietnia 1880 r. Franciszka ma już gotowy „zarys“ zgromadzenia. Ma to być zgromadzenie, którego celem „jest chwala Boża i odwzajemnie nie miłości jaką Bóg nas umiłował i to przez pracę nie tylko nad własnym udoskonaleniem, ale nadto przez staranie się, wedle ducha właściwego naszemu powołaniu o zbawienie i udoskonalenie innych. „Zadaniem zgroma-

żenia: „ofiarowanie siebie w zjednoczeniu z Chrystusem Panem w duchu modlitwy za potrzeby Kościoła św. i poniżenie jego nieprzyjaciół, za Najwyższego Pasterza, biskupów i duchowieństwo w duchu prześląganania za zniewagi wyrządzone Majestatu wi Bożemu przez sekty tajemne“ (w trzydziści lat potem grono młodych zakonników franciszkańskich z Maksymilianem Kolbe i Wenantym Katarzyńcem na czele podejmie w Rzymie inicjatywę stworzenia Milicji Niepokalanej, której zadaniem ma być codzienna modlitwa do Maryji za tych „którzy się do Niej uciekają, za wszystkich, którzy się do Niej uciekają, a zwłaszcza za masonami...“). Wzorem: „życie ukryte Chrystusa Pana w Lazarecie z Najświętszą Panną i św. Józefem...“

Wiosna — i znowu ciężki atak choroby zmuszający do wyjazdu do Civita Vecchia... Lecz gdy w sierpniu Franciszka stanęła jakos na nogi, zaraz opanowała ją nowa myśl. Tym razem nie zwlekała. Już 6 września jedzie na północ. Po drodze — z Florencji — może patrząc na wynurzającą się sponad dachów kopułę Santa Maria in Fiori — pisze: „Czuję całą doniosłość tej podróży, potrzebę łaski Bożej i nieskończoną nędzę moją; przeto proszę was o wyłączną w mej intencji modlitwę... Tym sposobem wspólnie ze mną działać będziecie...“

Jedzie do Krakowa. Tam chce założyć nowy Nazaret. Atmosfera jednak jaką znajduje w podwawelskim grodzie nie zachęca do pracy. Aż dziwne. Kraków bowiem „lat osiemdziesiątych to istotnie już raczej stolica Polski, bo to i Heidelberg, Oxford i Wenemar i Florencja, no a przede wszystkim jedno wielkie Faurbourg Saint Germain, jakieś bourgetowskie miasto noblessy de la haute naissance i to bez żartów, na całkiem serio... raz jednak, był raz taki moment, aurea aetas, takie złote dziesięciolecie w życiu tego dnia najbiedniejszego miasta kuli ziemskiej. Do „małego Rzymu“ do miasta kościołów i pamiętek zjechało i dało sobie rendez-vous moc rodzin ziemiańskich, wielkoobszarnicznych z całym kreśłem wschodnich, spod Moskale... I nie było to jakimś noblessa zbiegnięciem, grandz i hidalgowie na wygnaniu, ale to byli bardzo zasobni i majątni latyfundiści, którzy dla edukacji synów i córek, dla rozkosznej bliskości Wiednia, Karsbadu, Gmunden, Ischl, Wenecji, Rivieri, Monaco, przeżywali w podwawelskim Saint-Denis swoje zimowe seasony...“ (A. Nowaczyński).

Więc też w tym kwitnym nagle bogactwem a i życiem intelektualnym Krakowie zdawać by się mogło, był grunt pod każdą nową inicjatywę, pod każde wielkie przedsięwzięcie. Tymczasem wbrew temu — po pierwszych rozmowach — Franciszka zapisuje w notatniku: „Ucisk — cierpienia wewnętrzne — śmierć — grób — 14 września rozchorowałam się. 15 choroba — ciężko na duszy — smutek nieopisany — czuję się bardzo źle...“

Ona, która całe życie pisywała listy i wychowywała listami dla siebie, zapisuje tylko stenograficznie uwagi. Ale czuć w nich bolesne zmartwienie. Tymczasem zgoda biskupa Dunajewskiego na osiedlenie się sióstr w Krakowie

zmienia raptownie sytuację. Teraz zaczynają się naciski na Franciszkę, by zwinęła dom rzymski i ze wszystkim przyjeżdżała do Krakowa. Opiera się temu. W rok potem napisze, że istnieją „niepewności czy domek rzymski będzie mógł się ostać. Ja was proszę bardzo się modlić a b y m ó g ł p o z o s t a ć (sama podkreśliła te słowa) i starajcie się o to, bo to by było z wielkim dobrem zgromadzenia...“

Rzym pozostanie zawsze na horyzoncie myśli Franciszki. I nie można tej kobiecie oskarżać o jakiś brak patriotyzmu. Gdy w 1860 r. przyjechał po raz pierwszy do Krakowa, pisała z zachwytem: „tu takie wszystko polskie, nawet muzyka wojskowa, która grała „Jeszcze Polska nie zginęła...“ „Ale sprawy Boskie są sprawami Boskimi. I właśnie gdzie jak gdzie, ale w Rzymie widzi się tę przeogromną perspektywę i u d z k a chrześcijaństwa. Tu, bardziej niż gdziekolwiek, rozumie się, że świat jest jednym i dobro najukochańszego nawet zakatka wynika z dobra całości. Polepszać można świat, polepszając swoją ziemię. Ale także polepszyć można swój naród pracując dla jedynej zdrowej koncepcji organizacji życia ogólnoludzkiego — dla Kościoła...“

W listopadzie 1880 r. wraca Franciszka na via Ferruccio, gdzie się teraz mieści domek narazerański, a już w styczniu zapada ciężko na zdrowiu. Znowu trzeba zmieniać mieszkanie (któryż to już raz?! Przenoszą się na via Susanna koło kościoła Santa Maria della Victoria. „Można powiedzieć — pisze jedna z sióstr — że pokorne zgromadzenie z Nazaretu miało ten sam los, co dom zamieszkały przez Najświętszą Rodzinę, który kilka razy zmieniał miejsce pobytu, zanim zatrzymał się na stałe w Loreto...“

A przecież uparta Franciszka pracuje wciąż nad pisaniem Konstytucji. Streszcza je dla Leona XIII, pisząc, że zakon wzięt sobie „za cel specjalny, modlitwy za potrzeby Kościoła, za Papieża, o nawrócenie nieprzyjaciół religii, o odopuskowanie w łączności z Jezusem i przy pomocy Maryji za zniewagi wyrządzone Majestatu Boskiemu przez towarzysystwa tajne, potępiane przez Kościół...“

Latem znowu jedzie do Krakowa. Ale tu sytuacja na nowo uległa zmianie. Tym razem biskup Dunajewski przyjął Franciszkę „chłodno i obojętnie. Nie zabronił jej — jak notuje jedna z sióstr towarzyszących Franciszce — założenia klasztoru w mieście, ale powiedział, że z powodu wielkiej liczby zgromadzeń zakonnych już istniejących, żadnego pola pracy nie może jej wyznaczyć. Wreszcie zaproponował matce, aby objęła opiekę nad sługami...“

Tej ostatniej propozycji Franciszka odmówiła. Może miała przecucie, że już po Krakowie chodzi inny, podobny jej zapaleń, malarz bez nogi, Adam Chmielowski, właśnie z pomysłem pracy wśród najbardziej potrzebujących, wydziedziczonych, zdeklasowanych. Idea Nazaretu była zupełnie inna. Z Krakowa pisze Franciszka do sióstr w Rzymie: „W ukrytym życiu nazareckim nie ma na pozór nic nadzwyczajnego, nic co błyszczy, co pociąga, co zwraca uwagę ludzką... Pan Jezus tu więcej ukryty aniżeli na krzyżu, aniżeli w Najświętszym Sakramencie... Tu w Nazarecie zdawałoby się, że nawet miłości swej dla nas niczym nie okazuje, bo nic nie czyni, nie dzieła, a jednakże leżąc przy Ukrywa Swą miłość. Swa wiel-

\* Fragment opowieści o Franciszce Siedliskiej, założycielce Nazaretanek.

kość, nawet Swą miłość, aby nam dać przykład największego wyniszczenia, najwyższej ofiary, poniżenia, upokorzenia, a dać go w tym stanie bierności, w którym przez trzydzieści lat przebywał. Bierność, mówię, przed ludźmi, bo przed Bogiem ta bierność była ciągłym czynem, czynem najwyższym, modlitwą, miłością, ofiarą...” I zgromadzenie poczęło tą ideą zaraz wcielać w życie, osiedliwszy się przy ul. Warszawskiej. Przełożoną domu krakowskiego została Gabriela Lopuszka.

Na jesieni Franciszka znowu w Rzymie — na wiosnę — znowu w Krakowie. Potem w Assyżu. We wrześniu wraca do Rzymu wypoczęta, lepiej wyglądająca. A przecież 21 listopada notuje: „Strasne nie dające się wyrazić cierpienia wewnętrzne, prawdziwy stan piekła w duszy, zupełne opuszczenie — trudność w spowiedzi, coraz większa obawa i strach przystępowania do Komunii św. — zdaje mi się, że przechodzę męki piekła...”

Też zimy Franciszka nabywa ostatecznie dla zgromadzenia dom na via Machiavelli. Jest to mała, słoneczna uliczka biegnąca od wyprążonego słońcem, żółtego placu Wiktora Emanuela — rzymskiego „kercelaka” — ku cienistej, wilgotnej via Merulana. Dom mieści się prawie przy samej via dell'Impero chrześcijaństwa. Na przeciw kilka małych sklepików, na rogu tradycyjne „vino e olio”. Tyły domu wychodzą na ogrody. Tkwiąc tak blisko życia i hałasu — zatopiony jest w ciszy. Wchodzi się doń po małych, kamiennych schodkach. Na prawo kaplica — długa, wąska, w połowie przegrodzona kratą. Nad kaplicą chór. Na wprost wejścia — klauzura. Na lewo — rozmównica. Dom mały a przecież pojemny. Na ulicy poświęconej pamięci człowieka, który napisał: „O ludziach da się to w ogólności powiedzieć, że bywają niewdzięczni, zmienni, obłudni, tchórzliwi w niebezpieczeństwie, chciwi zysku: póki im świadcysz dobrodziejstwa są tobie całkiem oddani, gotowi poświęcić krew, mienie, życie swoje, i życie swych dzieci dopóki — niebezpieczeństwo stoi daleko, ale niech się ono tylko zbliży — już masz ich wszystkich przeciwko sobie...” — na ulicy Mikolaja Machiavelli, autora „Mandrągorii” i „Il Principe” — wyrósł dom kobiet, których życiem stała się „droga prosta, bez żadnych nadzwyczajności, bez egzaltacji, ale w pracy, w czuwaniu, w odrywaniu się od stworzeń, a coraz gorętszym umiłowaniu swego Boga i Pana...”

Niedługo potem przychodzi do Franciszki wezwanie. Z daleka, aż z Chicago. Jak wiemy jest to jeden z większych w Stanach Zjednoczonych ośrodków emigracji polskiej. Miejscowi księża potrzebują na gwałt pomocy zakonnic. Piszą więc do Franciszki.

Zuchwały pomysł! Zaledwie zgromadzenie jako tako okrzepło, ledwo zdobyło sobie swój dom macierzysty, gdy nagle spada na nie oszłamniające propozycja pracy w Ameryce. Franciszka jest porwana, ale zachowuje trzeźwość. Zastanawia się.

W życiu ludzi jej podobnych rozlegają się często wołania daleki. Indie kuszą Franciszka, Sambia — Wojciecha. Meciński czy Kolbe płyną do Japonii, Beyzym — na Madagaskar. I Franciszka pewnego dnia postanawia odpłynąć na drugą półkulę.

Jest wciąż chora, ale to ją nie przestrasza. Gdy uświadomiła so-

bie, że coś trzeba zrobić, nie ją tylko zatrzymuje — chyba jeden tyłko: głos spowiednika. Zanim rzuci się w daleką drogę — odwiedza Kraków. Potem na czele dwunastu sióstr przeznaczony na amerykańską misję i w towarzystwie o. Lecherta udaje się do Neapolu. Pociąg stuka po szynach, pędząc przez mrok czerwonej nocy. Siostry modlą się.

Rankiem są w Neapolu. Idą na mszę świętą do kościoła Stella di Mare. Ze wzgórz patrzą na leżące w dole miasto. Spada ono tarasami ku morzu. Zielone wzgórza i na ich tle szary zamek św. Elma. Niebieskie niby farbka morze bije o kamienisty półokrąg za toki. Wał ciemnej zieleni i białych domków ogarnia z lewa niby ramieniem drgająca powierzchnię morza, ciągnie się daleko, aż po Sorrento, aż po odrzuconą w morze wyspę Capri. Bliżej, ciężki, rozdwojony garb Wezuwiusza. Na prawo, na małej skalistej wysepce, połączonej mostem z morzem — ciężki, groźny fryderykowski Castel dell'Ovo. Skąły podchodzą blisko morza, wrzynają się w nie jezorem półwyspu Posillipo. Znowu odprask skalny — wyspa Nisida...

„Vidi Napoli e poi mori...” mówi stare przysłowie. Piękno Neapolu zapiera oddech w piersi. A przecież siostry, które zajmują miejsca w kabinach „Gottarda” nie myślą na pewno o romantycznej przyrodzie, która je otacza. Są trochę oszołomione podróżą, trochę zaniepokojone morzem na które wypływają wszystkie prawie po raz pierwszy. Na morze Angioino słychać krzyki tragarzy i szczeł łańcuchów. Siostry patrzą co robi Franciszka. Modli się. Czuje ich wzrok utkwniony w siebie, podnosi głowę i uśmiecha się lekko. Odpowiadają jej uśmiechem. I nagle wszystkie niepokoję gdzieś odlatują. Już nie lękają się niebezpieczeństwa.

Słońce kłoni się za Ischię, za Capri, kiedy „Gottardo” majestatem odbija od mola. Miasto na zboczu oddała się. Długie cienie kładą się na morzu. W dole kołyszą się barki rybackie, samotny żagiel tu i tam wznosi się nad białymi pasmami. Różową mgiełką widać nad kraterem Wezuwiusza. Przejmujący smutek odchodzenia kładzie się na sercach.

Podróż męczy Franciszkę, czuje się źle. W Gibraltarze tylko olbrzymim wysiłkiem woli — by być posłuszną życzeniu o. Lecherta — schodzi na ląd. Także zdobywa się na bohaterki wysiłek wyjścia na pokład i rozmawia z marynarzami. Od razu z daleka poczuła, że tym ludziom pływającym po morzu, trzeba przypomnieć o Słowach Tego, który po morzu chodził. Godziny całe Franciszka spędza na rozmowach i naukach. Zyskuje sobie przyjaźń czarnych, zarośniętych marynarzy włoskich.

Na dwunasty dzień podróży w nocy wybucha gwałtowna burza. Białawy przelewają się przez pokład „Gottarda”. Siostry ubrane stoją, gotując się na śmierć. O. Lechert podnosi rękę by dać absolucję „in articulo mortis” (jakże często przyjdzie ludziom mojego pokolenia wysłuchiwać słów tego łaskawego rozgrzeszenia!).

„Tylko matka nasza — pisze jedna z sióstr — była pogodna i spokojna. Krótkimi i świętymi słowami zachęcała, abyśmy nie traciły ufności w Bogu. Miała najmocniejszą wiarę, że kiedy Pan wezwał nas do pracy dla Jego chwały, aż za ocean, potrafi też zaprowadzić bezpiecznie tam, dokąd powołuje...”

W cztery dni potem „Gottardo” wpływa do nowojorskiego portu. Płynąca obok niego „Italia” poszła na dno. Przed oczyma patrzących sióstr przesuwa się gęsto zabudowany pas Manhattanu. Z New Yorku siostry jadą do Chicago. Tutaj zapoznają się z polem swej przyszłej pracy. Nie przedstawia się ono świetnie. Tu nie jest ta bogata, we wszystko obfitująca Ameryka, którą się zwykło podziwiać. Zamiast niej siostry schodzą na prawdziwe dno opuszczenia i ubóstwa.

W jesieni Franciszka wraca do Europy. Odwiedza Polskę, potem przez Loreto jedzie do Rzymu. Przez cały 1886 r. pozostaje w domu macierzystym, (gdzie wzięła na siebie dodatkowo obowiązek mistrzyni nowicjatu). Latem tylko i na krótko udaje się do Tiwoli. Oddycha orzeźwiająco wilgocią ogrodów willi d'Este, patrzy na Tybur walący się dziką białą kaskadą pian i wodnego pyłu z urwistej skały, z wysokości wzgórz patrzy na równinę Kampanii, na cyprysy willi Hadriana, na polyskujący w dali lasem krzyżów i kopuł Rzym — i myśli o swych siostrach. Pisze do nich: „wśród was, moje najdroższe dzieci, niechaj panuje ta święta jedność, miłość, poświęcenie się jednej dla drugiej, a to wtedy nastąpi, gdy coraz więcej umierać będzie to wasze ja, które zawsze o sobie myśli, siebie szuka, swoich rzeczy pragnie...”

W końcu 1886 niezmordowaną matkę założycielkę widzimy w Krakowie. Wprawdzie w 1887 ni gdzie się z Rzymu ni rusza, ale za to w 1888 jest znowu i w Polsce i w Ameryce. Pozostaje za oceanem cały rok. Zakłada jeden nowy dom zakonny w Scranton (Pensylwania), drugi w Brooklynie i szpital Najświętszej Panny z Nazaretu w Chicago. Już poprzednio zgromadzenie posiadało w USA cztery domy zakonne.

Naturalnie olbrzymi wysiłek sprawiał, że Franciszka zapada kilkakrotnie na zdrowiu. Wreszcie w sierpniu 1890 r. wraca do Europy. I — już w październiku jest w Krakowie...

W czerwcu 1891 r. Franciszka pisze do Tekli - Laurety: „Za kilka tygodni będę musiała pojechać do Paryża, bo zdaje się, że Pan różnymi okolicznościami wskazuje, iż przyszedł czas, aby założyć klasztor w tym mieście...” Rzekiście w miesiąc potem widzimy ją na stopniach kościoła św. Magdaleny, patrzącą na splątaną gęstwę powozów, które płyną przez rue Royale ku Place de la Concorde. Jest to jeden z piękniejszych widoków Paryża — po przez obelisk z Luksoru widać most, mglistą Sekwanę, białe pałacyki Quai d'Orsay! Ale pierwsza wizyta w Paryżu nie dała rezultatów. Dopiero rok później udało się Nazaretankom otworzyć w Paryżu szkołę dla dziewcząt przy ul. Labat, na zboczu Montmartre'u. Ten punkt niewątpliwie wybrała sama Franciszka. Dla niej bowiem piękno Paryża uosabiała przede wszystkim biała bazylika Serca Jezusowego. Stąd napisze: „Dziś w tej dziwnie dla mnie drogiej bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa dać mi Pan raczył tę łaskę, że oddałam Mu się bez granic...” Przepiękny kościół wschodni w typie, lekki, a jednocześnie ogromny, zawieszony nad miastem niby różowe zjawisko, gdy się go idzie podać chód słońca w pogodny wiosenny dzień poprzez którąś z przecznic bulwaru Haussmana. Wszystko co pozostało jeszcze z dawnej chrześcijańskiej Francji, „starszej córki Kościoła” jest tutaj. U stóp

góry leży Paryż. Szary, mglisty, ogromny. Wielkie muzeum. Świat nakryty kłosem. Już nie żyjący, ale zastygły w bezruchu niby jedna z mumii egipskich, które leżą w murowanych skrzyniach, w wielkich, wyłożonych salach Louvre'u.

Wróciwszy do Rzymu Franciszka przekazała nowicjatk matce Józefie - Teresie (Tyszkiewiczównie). W 1893 r. jedzie do Krakowa, Lwowa i Przemyśla. We Lwowie zwiedza niedawno otwarty przez zgromadzenie internat. Siostry witają ją z niebywałą wystawnością i z zapalem właścicielom mieszkańcom Lwowa. Mała postać Franciszki zdaje się zniknąć wśród tych wszystkich wspaniałości. Czuje się źle. Bolesnie obrzękły jej nogi. Mówi cicho do cisnących się do niej sióstr.

— Dziękuję wam, dzieci moje... Ale tak nie trzeba... nie trzeba... Przygotowujecie dla mnie piekło...

W 1894 r. Franciszka ciężiej niż poprzednio zapada na zdrowiu. Grozi jej paraliż serca. Jeżeli wychodzi i tym razem cało, to zawdzięczać to należy chyba tylko modlitwom sióstr. Ale wystarczy, że się zdrowie tylko trochę poprawiło, już Franciszka wyrusza w nową podróż. Tym razem — do Londynu. Tam bowiem pojawia się potrzeba założenia placówki.

Kosztowało to ją wiele. Musiała przeleżeć — i to w Paryżu — aż do wiosny 1895 r. Potem pielgrzymuje do Loreto. Znowu jedzie do Londynu, gdzie właśnie dochodzi do skutku dom zakonny. Siostry mają tu pracować wśród emigrantów polskich i litewskich. Wraca do Rzymu. Na wiosnę 1896 r. wyrusza po raz trzeci do Ameryki...

Nie bez powodu wyliczam wszystkie podróże i wszystkie cięższe zachodzenia matki Franciszki. Jest bowiem między jej chorobą, a podróżami nierozdzielny związek: im więcej choruje tym więcej jeździ. Nie żałuje swoich sił.

Ale tym razem jest to ostatnia jej wielka podróż. Wraca po roku do Europy, odwiedza Londyn i Paryż. W latach następnych ogranicza się do odwiedzenia domów europejskich. Niepokoi się o placówkę paryską, patrząc na walkę jaką toczy rząd III republiki z Kościołem i katolicyzmem. Pisze z Paryża 5 lutego 1901 r: „Co do nas, nie wiem, co się stanie, ale jeszcze mamy Londyn, który też potrzebuje sióstr lub Rzym, chociaż sądzę, że w świetle szatach uda się pozostać...”

Lato 1902 r. zmęczyło specjalnie mocno Franciszkę. Ta stale chora kobieta nie szanująca swego zdrowia, zapracowana, wiecznie w podróży dobiegała sześćdziesiątego roku życia. Dzieło jej było ugruntowane, pozostało jednak oszłamniające, ścinające z nóg osłabienie. I świadomość — a raczej ten wielki niepokój duszy jej podobnych — niepokój końca... Zapragnęła tym razem sama — ostatni raz przed drogą w wieczność — zamurzyć się w milczeniu.

Pojechała odbyć rekolekcje u Benedyktynek w Subiaco.

Trudno o miejsce bardziej właściwe. Kręta, górską drogą prowadzi między białymi, wapiennymi skałami, rozsazanymi przez opuncje i kaktusy, nad polami, które porastają chorobliwie poskręcane, szare oliwki, nad zboczami pełnymi zieleni winorośli, wzdłuż starych rzymskich akweduktów, nad potokami w głębi wąwozów. Aż wreszcie podcho-

dzi pod stromo urywająca się skałę. W dole huczy potok. Mała furtka otwiera się przed przybyłym. Idzie się wiszącymi, wykurtymi w skałe krużkankami, mijając się miniaturowe ogródki, pełne róż, glicynii, bluszczu i rozpiętych na drucie winorośli. Dochodzi się do kapliczki wykutej w pieczarze, gdzie srebrzy się figura św. Benedykty z Nursji i gdzie na ścianie gra zamierającym już kolorem młodzieńcza postać św. Franciszka z Assyżu. Wieki mijają — klasztor trwa...

Ten i drugi niżej od drogi — klasztor św. Scholastyki. Palmy rosną w małych ogródkach otoczonych koronką krużganek, stara studnia zda się skrzyknąć jeszcze niezapomnianą pieśnią średniowiecza, złomy rzeźb i piaskorzeźb starożytnych szepczą cicho o tym, co było bardzo dawno... Na zwietrzałej, spękanej, rozdartej przez krzewy skałe śpi w słońcu Subiaco — garść domów niby kamieni ściśniętych wokół zameczku z wielkim zegarem na wieży...

Tam — u św. Scholastyki — przemysłowała Franciszka zbiegłe życie. Jeszcze raz robiła ścisły rachunek wszystkiego co zrobiła. Nie czuła się twórczynią dzieła. Była tylko narzędziem. Ludzie są albo narzędziami woli Bożej — i wtedy dzieło ich rąk i serc jest ponad czas trwałe, albo pełnią swoją wolę — i wtedy wiatr rozwiewa ruiny wiszących ogrodów, miast olbrzymów, piramid, królestw, dyktatur.

Franciszka zdaje sobie sprawę z tego, że sama nie odkryła by tajemnicy rytmu Bożego w dziełach ludzkich. Trzeba podziemnego nurtu łaski, by poznać, że idą czasy, w których symbolem będzie owa niezapomniana scena w nazareckim domu, kiedy to do niego przyleciał niebieski posłaniec i powiedział jego Mieszkance: „Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...” To nie zbieg okoliczności, że właśnie scena Zwiastowania pojawia się na płótnach tytu malarzy współczesnych. Przy pomina mi się obraz młodego Ermanno Toschi na wystawie wspólczesnej sztuki religijnej we Florencji. Obraz stonowany, nieco zmatowiały pokazuje nam dziewczynę wstającą od stołu Gest wzruszenia, zaniepokojenia, a jednocześnie całkowitego poddania. Albo obraz Renzo Crivelli: wśród drzew na łące nowoczesna panienka słucha głosu z nieba... A jednocześnie myślę o pełnym gołębiego lotu i płynności Zwiastowania Boticellego, o niezapomnianym, najpiękniejszym ze Zwiastowań — Zwiastowanie Fra Angelico dokonującym się pod kolumnami florenckiego krużganek — wreszcie o cudownym Zwiastowaniu z kościoła Zwiastowania obok szpitala Santa Maria della Innocenti we Florencji. Zwłaszcza ten ostatni obraz — nieznanymi prymityw ludowy — za wiera wszystko co stanowi sens dzisiejszego dnia — sens tak zupełnie niepojęty dla ludzi współczesnych: jest tam dom nazarecki, Maryja — pełna poddania i gotowości — oraz Duch — Gołąb — Boski Oblubieniec.

Czyż nie jest tak? Czyż my ludzie problematyki, paradoksów, kompleksów i tajemnic własnego ja nie potrzebujemy bodaj bardziej, niż przedstawiciele innych epok pomocy Boskiego Ptaka? Na dziś dary Ducha św. są potrzebniejsze niż chleb codzienny. Są sprawami naszego „być albo nie być”. Są sprawami zagłady lub odrodzenia człowieka.

I droga do siedmiorakich Łask nie jest ani zbyt daleka, ani zbyt

# Tydzień kulturalny

A KTO VAS ZABIJE...

zawikłana. Nie naprózno woła głos z La Salette, Lourdes, Fatimy, Beauraing. Ta, która jest Oblubienicą Ducha jest także do Niego Pośredniczką. Kluczem naszej epoki jest klucz do Serca Maryji. To przeczuwają wszyscy, którzy się modlą, jak wszyscy oni czują, że prawda o wszechpośrednictwie Maryji jest prawdą urastającą w dogmat.

A wreszcie — dom nazarecki. Nie zapominajmy, że Maryja jest nie tylko Matką Bożą i Pośredniczką do Bożego Miłosierdzia, ale to jest także ten Człowiek, ta Istota, która swą niezwykłością przyspieszyła Cud Wcielenia. Historia świata spiętrzyła się już raz w nazareckim domu. Cóż to znaczy, że kończyła się wtedy republika, a panować począł nad światem Rzym cesarski, coż to znaczy że płynęła ku południowi fala Germanów, że gdzieś w dalekich Indiach rósł kult Sindharty, że rodził się Wespazjan gromiciel Jerozolimy? Świat nie byłby tym czym jest, gdyby nie narodziny w Nazarecie. Losy świata i jego blaski — wszystko co świat ma już miał — wartościowego — całe dobro, piękno i cała prawda świata — zawdzięcza swój początek tym narodzinom. W Nazarecie zdecydował się los pokoleń. Jedno oświadczenie: „Ecce Ancilla Domini” — i oto rzeczywistość stała się zgoła inna. Nie trzeba było wzniesić wojen, nie trzeba było zdobyć pół świata. Nie trzeba było być Nabu chodonożorem, Aleksandrem, Cezarem, Napoleonem. Trzeba było móc powiedzieć: „fiat mihi secundum verbum tuum...”

O tym — być może — myślała Franciszka. Tworząc zgromadzenie oparte na regule św. Augustyna, a którego „cel pierwszy i ogólny... polega na chwaleńcu Boga i wywdzięczeniu się Mu za Jego miłość” — zdawała sobie niewątpliwie sprawę — ona, która pisze o sobie, że lubiła „wszystko co wielkie i wspaniałe” — z tego, że nie tworzy rzeczy małej, drobnej dla garstki tylko kobiet przeznaczonych. W istocie zakonów przejawia się zawsze duch epoki — prawdziwy duch epoki — przeciwny poziomym, ludzkim intencjom. I Franciszka czuła, że pokora i pozorna bezczynność nazareckiego domu jest nie tylko potrzebna jej i jej siostrze, ale jest jedyną skuteczną receptą na bole wieku chorującego na pychę i nadaktywność. Trzeba zacząć od czyszczenia w sobie — aby móc czynić w sobie, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nie można zrobić bez Łaski. Jakżeż to się wydaje proste, a ileż trzeba wysiłku, aby o tym przekonać ludzi. Nie ma rady. Najprostsze rzeczy są najtrudniejsze i najmniej zrozumiałymi. Odbiegliśmy daleko od prostoty dzieciniego myślenia.

Czynić w sobie! O tym musiała myśleć najczęściej Franciszka, gdy kończąc swą drogę życia na rozrachunku z sobą w klasztorze w Subiaco, pisała: „Wyrzucam sobie lekkomyślność, roztrzepanie i małe skupienie i błagam tego wielkiego świętego (Benedykta), aby wyprosił dla mnie ducha samotności, nawet gdy wypełniam obowiązki mego urzędu, ducha miodli twy — bym umiała słuchać Boga i mówić do Niego — oraz na być! ducha milczenia wewnętrznego i zewnętrznego; uczyniłam tam postanowienie pracowania, czuwania, modlenia się, użycia wszelkich możliwych wysiłków, aby ten duch panował we mnie i w moich siostrach...”

Jan Dobraczyński

Pod tym tytułem ukazała się ostatnio w Czechosłowacji książka ks. Bedricha Hoffmanna, obejmująca dzieje księży — więźniów obozu koncentracyjnego w Dachau. Gruby, bardzo starannie wydany tom obejmuje nie tylko wiele ciekawych i nieznanych dotychczas opisów, nie tylko szereg rysunków i fotografii, ale także dokładny — zrobiony z niebywałym trudem i poświęceniem przez autora — spis wszystkich księży, którzy się przez obóz przewinęli, wraz z zaznaczeniem co się z nimi potem stało. Spis księży polskich czyta się ze wzruszeniem. Przewijają się w nim nazwiska znane. Liczba księży polskich, którzy znajdowali się w obozie przeraża. Na 1.154 księży katolickich, którzy ocalili i zostali oswobodzeni przez Amerykanów było 787 Polaków (138 Francuzów, 61 Czechów, 38 Niemców). Na 103 księży przewiezionych przez Niemców do innego obozu koncentracyjnego było 76 Polaków (13 Niemców). Na 598 księży zmarłych w Dachau było 471 Polaków (86 Niemców). Na 325 księży „zagazowanych” było 306 Polaków (6 Niemców). Natomiast wśród 351 wypuszczonych było 50 Polaków (natomiast 186 Niemców).

Książka jest właściwie poświęcona Polakom i powinna znaleźć się w Polsce. Kosztuje 339 koron, wydana została nakładem Społecznych podniku w Pierovce. Byłoby rzeczą wskazaną, aby, korzystając z rozwijającej się przyjaźni polsko - czesko - słowackiej, można było ją do kraju sprowadzić.

## TEATR AKADEMICKI

W ROKU akademickim 1946/47 zorganizowany został sítami studentów Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Sztuk Pięknych, Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Politechniki Warszawskiej — Teatr Akademicki. Imprezę zapoczątkowali poloniści, zawsze ciążący ku świątyni Melpomeny. Chodziło przy tym nie tylko o stworzenie jeszcze jednej pla-

cówki kulturalnej, lecz także o praktyczne zapoznanie przyszłych artystów, dekoratorów, muzyków, krytyków i historyków literatury z problematyką sceny. W toku przygotowań przedyskutowano wiele kwestii teoretycznych i rozpracowano dużą ilość praktycznych zagadnień. Ci, którzy to przeszli, będą prawdopodobnie mogli bardziej kompetentnie zabierać głos w sprawach teatru, niż wielu piszących dziś na ten temat „speców”.

Jako pierwszy utwór przeznaczony do wystawienia wybrano sztukę B. Shawa „Androkles i Lew”. Trudno dziś ocenić, czy zrobiono dobrze. Rzecz nie była jeszcze w Polsce grana (będzie to więc tak zwana premiera) i nie wiadomo czy zespołowi wystarczy sił do wykonania swego przedsięwzięcia. Z drugiej jednak strony, wybranie sztuki nowej przez zespół akademicki staje się niemal symbolem. Tu nie ma mowy o łatwiznie i linii najmniejszego oporu, którą zaobserwować można na niektórych scenach państwowych. Jest za to próba znalezienia własnego stylu w teatrze. Zobaczymy czy będzie udana.

Wszedłszy na ambitną drogę pokazania Warszawy prapremiery, akademicy wykonują całość inscenizacji własnymi siłami.

Dekoracje projektował p. Andrzej Sadowski z Wydziału Dekoracyjnego Wyz. Szkoły Sztuk Plastycznych. Kostiumy również jego pomysłu wykonało Liceum Przemysłu Odrzędzowego. Wstawki muzyczne do sztuki komponował p. Stanisław Pruszyński, słuchacz Warszawskiego Konserwatorium. Cały zaś zespół brał udział w pracach technicznych i wielokrotnie można było widzieć wieczorami w stołówce na Krakowskim Przedmieściu studentów zajętych farbowaniem materiałów przeznaczonych na kostiumy.

Całością prac reżyserskich od strony fachowej kieruje p. Zbigniew Sa-

wan. Po doskonałym opracowaniu szekspirowskiego „Wiele hałasu o nic”, należy przypuszczać, że kontakt studentów z nim właśnie powinien być bardzo pożyteczny. Poziom przedstawienia przekroczy prawdopodobnie ramy imprez amatorskich, a w każdym razie będzie ciekawym eksperymentem interpretacyjnym.

Wystawiana jako pierwsza sztuka Shawa poświęcona jest problematyce wczesnego chrześcijaństwa, stykającej się ze światem pogańskim. Trudno przypuszczać, by wybór był tu przypadkowy. Chyba żaden temat nie jest w dzisiejszych czasach tak bliski młodemu pokoleniu, jak ten właśnie. Wybierając utwór Shawa młodzi amatorzy teatru wykazali wyczuć aktualności. Tym więcej, iż wątplić należy, by jakiś inny teatr pokusił się o zobrazowanie tej problematyki. Już to samo wskazuje, jak pożyteczne jest istnienie Teatru Akademickiego.

Premiera sztuki „Androkles i Lew” w dniu 28 lipca br. o godz. 16 m. 30 w Teatrze Muzycznym, Królewska 13, będzie niewątpliwie jednym z ciekawszych wydarzeń teatralnych Warszawy.

## NOWY MSZALIK

KSIĘGARNIA św. Jacka w Katowicach wydała ostatnio mały mszalik niedzielny układu ks. Tomanka. Nowy mszalik może być prawdziwym wzorem tego rodzaju wydawnictwa. Doskonały, przejrzysty układ, duża zwartość, estetyczny wygląd, pierwszorzędnie przełożone teksty — wszystko to sprawi, że mszalik powinien być polecany wszystkim, a zwłaszcza młodzieży szkolnej i akademickiej.

## WYROK NA FRANCISZKA KŁOSA

NAKLADEM księgarni E. Kuthana ukazała się w wydaniu książkowym drukowana w naszym piśmie doskonała powieść Stanisława Rembeka „Wyrok na Franciszka Kłosa”. Zanim książkę omówimy szczegółowo zwracamy uwagę na jej ukazanie się. Jest

to niewątpliwie jedna z najlepszych pozycji prozy polskiej w naszej literaturze powojennej.

## FESTIWAL SZEKSPIROWSKI

Dnia 17 bm. w Warszawie odbyła się inauguracja Ogólnopolskiego Konkursu Szekspirowskiego, zorganizowanego przez Departament Teatru Min. Kultury i Sztuki.

Konkurs zainaugurował Państwowy Teatr Polski, wystawiając „Hamleta” w nowym przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza, w reżyserii i inscenizacji Arnolda Szyfmana w oprawie dekoracyjnej i kostiumach K. Frycza. W rolach głównych wystąpili: M. Wyrzykowski — Hamlet, S. Butkiewicz — król duński, L. Paniewicz-Leszczynska — królowa duńska, Laertes, S. Zeleni — Horacio.

Obecni na przedstawieniu, obok polskich osobistości oficjalnych, angielscy szekspirologi W. T. Guthrie i L. R. Hale zwracali uwagę na dodatnie strony przedstawienia. Krytykowali jednak zbyt wielką ilość odslon i niezgodne z duchem Szekspira przewagę dekoracji i świateł nad pozostałymi elementami ekspresji scenicznej.

Wydaje nam się, że zdanie gości angielskich zasługuje na uwagę. Jest bowiem jeszcze jednym potwierdzeniem zastrzeżeń wysuwanych niejednokrotnie w stosunku do inscenizacji dyr. Szyfmana.

Z dużym natomiast uznanem Anglików spotkał się sposób wystawienia komedii „Wiele hałasu o nic” w Teatrze Małym. Interpretacja p. Zbigniewa Sawana uznana została za wyjątkowo trafną. Podkreślano zwłaszcza umiejętność zachowania jedności miejsca, tak zgodną z intencją Szekspira w tej sztuce. Niewielkie obłeki budziło jedynie zbyt rewiowe ujęcie niektórych partii przedstawienia.

Po zakończeniu festiwalu Szekspirologi angielscy udadzą się do Częstochowy, Krakowa i Kielc by poznać pracę tamtejszych teatrów.

## Z zagadnień Gospodarczych

### Sprawa mieszkań

Ostatnia wojna dokonała na terenie Polski szczególnie ciężkich spustoszeń w nieruchomościach miejskich. Wzmocnienie akcji odbudowy, a w szczególności budowy względnie remontu mieszkań — innymi słowy przyspieszenie tempa normalizacji warunków egzystencji szerokich mas społeczeństwa w miastach jest problemem o niesłabnącej aktualności.

Wśród znacznej części społeczeństwa panuje przekonanie, że wolne tempo odbudowy mieszkań jest spowodowane znikomym udziałem w tej akcji inicjatywy prywatnej. Równocześnie stwierdzić można istnienie zastrzeżeń przeciwko dopuszczaniu inicjatywy prywatnej do finansowania budownictwa. Zastrzeżenia te znajdują wyraz w trudnościach robionych przez władze administracyjne, które interpretowały często zbyt rygorystycznie i tak już surowe obowiązujące normy prawne w tej dziedzinie. Najwyraźniej dawał się dostrzec na tym odcinku konflikt poglądów.

Uchwalona ostatnio przez Sejm ustawa o popieraniu budownictwa wskazuje na to, że samo życie i jego potrzeby narzuciły drogę po której zagadnienie odbudowy może być realnie rozwiązane. Nie przesądzając konkretnych osiągnięć na tej drodze, sprzecywanie pro i contra popierania prywatnego budownictwa mieszkaniowego, (w oparciu o

wypowiedzi zamieszczone na łamach czasopism gospodarczych), jest dla wyrobienia sobie obiektywnego sądu o tym zagadnieniu rzeczą nawskroś pożądaną. Tym bardziej, że wspomniany wyżej konflikt poglądów jest konfliktem o charakterze odcinkowym w stosunku do ogólnego konfliktu na temat udziału sektora prywatnego w gospodarczym rozwoju kraju.

Należy więc zacząć od odpowiedzi na pytanie w jak szerokiej skali inicjatywa prywatna może rozwiązać problem mieszkaniowy, abstrahując nawet od zastrzeżeń wynikających z odmiennych założeń społecznych obecnego ustroju gospodarczego. Przed wojną polityka budowlana, która opiera się na inicjatywie prywatnej jako najważniejszym dostawcy nowych izb mieszkalnych, musiała automatycznie pozostawiać szerokie masy pracownicze, a więc grupy społeczeństwa najsłabsze finansowo poza kręgiem swego zainteresowania. Inicjatywa prywatna nie może bowiem pracować przy tym niskim oprocentowaniu, ani przy tak długim okresie amortyzacji kapitału jakiego wymaga skromne i tanie mieszkanie w naszych warunkach. W rezultacie standard mieszkaniowy części urzędników, a przede wszystkim robotników był przed wojną niesłychanie niski. Tymba dziej dzisiaj przy znacznie większej dysproporcji między kosztami

odbudowy, ratą amortyzacji i czynszem za nowe mieszkanie, a możliwościami płacniczymi pracowników, inicjatywa prywatna może w zakresie odbudowy mieszkań pracować tylko na zaspokojenie własnych potrzeb.

Nie znaczy to jednak, aby udział inicjatywy prywatnej nie był wskazany.

Po pierwsze — ktoś musi budować mieszkania dla inicjatywy prywatnej.

Po drugie — budownictwo prywatne spowoduje nie tylko poprawę sytuacji mieszkaniowej wśród grup wchodzących w skład t. zw. inicjatywy prywatnej, ale również pośrednio, poprzez zwalnianie lokali dotychczas zajmowanych, a podlegających gospodarce publicznej lokalami — przyczyniać się będzie do pewnego odprężenia na odcinku mieszkań dla pracowników.

Po trzecie — uniknie się kompletnego niszczenia budynków, które nie mogą być przez instytucje państwowe odbudowane ze względu na ograniczone możliwości finansowe Państwa.

Poza tymi argumentami, które wiążą się bezpośrednio z polepszeniem sytuacji mieszkaniowej nie można zapoznać i innych dodatnich stron płynących z zaangażowania inicjatywy prywatnej w budownictwie. Stawia ona bowiem warunki, które umożliwiają sektorowi prywatnemu lokowania kapitału w przedsięwzięciach pożądanym i potrzebnym dla Państwa, jest więc równocześnie pomo-

cą udzieloną Państwu i przeprowadzeniu inwestycji.

Należy bowiem zdać sobie sprawę, że logiczną konsekwencją uznania sektora prywatnego jako części strukturalnej obecnego modelu gospodarczego Polski jest uznanie gromadzenia przez ten sektor (umiarkowanych co do swych rozmiarów) wartości kapitałowych. Istniejąca obecnie struktura rynku stwarza ogromne możliwości kumulowania kapitałów, a jeśli uwzględnimy kapitały nagromadzone podczas wojny, łączna suma środków pieniężnych inicjatywy prywatnej jest bardzo pokaźna. Jeżeli w tym stanie rzeczy nie zostaną dani ich właścicielom możliwości produkcyjnej lokaty — kapitały te będą po bezdrożach spekulacji, zostaną lokowane nielegalnie (gromadzenie zapasów, czarna giełda) utrudniając tym samym wszelką twórczą działalność gospodarczą. Nielegalna aktywność sektora prywatnego niesie sama w sobie tendencje dalszego gromadzenia kapitałów sposobami spekulacyjnymi i prowadzi do dalszego podważania tak często chronionych podstaw przemysłu państwowego, do pełniając tym samym circulum vicius kumulacji dzikich kapitałów w kraju.

Postulat dopuszczenia wszystkich kapitałów bez względu na ich pochodzenie do uczciwej produktywizacji ma jednak swą piętę Achillesa. Czyż można bowiem pominąć fakt, że niekorzy właściciele weszli w ich posia-

danie drogą bezprawną i aspołeczną? Odpowiedź na to jest jedna: brak możliwości legalnej produktywizacji kapitałów prywatnych powodować będzie poszukiwanie najkorzystniejszych dla nich lokat na drodze spekulacji, czemu najostrzejsze nawet metody walki administracyjnej nie będą w stanie całkowicie zapobiec. Mamy tu do czynienia z sui generis amnestią — amnestią skarbową, która ma na celu wciągając do pozytywnej pracy wartości, które w przeciwnym wypadku zmarnowałyby się.

Reasumując powyższe uwagi uzasadnionym jest zastosować ulgi o charakterze skarbowym, aby stworzyć warunki zachęcające inicjatywę prywatną do lokowania swych kapitałów w budownictwie.

Równocześnie zwrócić należy uwagę na konieczność ustalenia granic w poparci, udzielanemu prywatnemu budownictwu mieszkaniowemu.

Po pierwsze — nie byłoby wskazane, aby rozwój prywatnego budownictwa hamował przeprowadzanie publicznych inwestycji przewidzianych w planie inwestycyjnym. Należy jednak podkreślić, że powyższe ograniczenia dzisiaj konieczne (niedostateczna ilość materiałów budowlanych) będą mały w miarę wzrostu produkcji tych artykułów.

Po drugie — zachodzi konieczność zastosowania w prywatnym budownictwie ograniczeń standartowych. (tj., że popieranie budownictwa dotyczyć będzie jedynie określonych powierzchni odbudowanych). Postulat

ten jest aż nadto usprawiedliwiony w obecnym czasie kiedy dysponuje się ograniczoną podażą wykwalifikowanych rąk roboczych i ograniczonymi środkami materiałowymi.

Popieranie budownictwa mieszkaniowego przy istniejących równocześnie granicach w zaspakajaniu potrzeb mieszkaniowych nie jest więc przywilejem dla najsilniejszych grup finansowych społeczeństwa, ale jest użyciem ich do realizacji polityki społecznej, która dąży do zapewnienia dachu nad głową jaknajwiększej ilości rodzin.

Uwzględniając powyższe uwagi należy się pozytywnie ustosunkować do wspomnianej wyżej ustawy o popieraniu budownictwa.

Ważniejsze elementy problemu, a mianowicie:

- 1) Zapewnia ulgi podatkowe np. wyłączenie sum wydatkowanych na budownictwo z pod działania podatku od wzbogacenia wojennego, wyłącza dochodzenie władz skarbowych co do pochodzenia kart przebudowanych, zwalnia właścicieli nowowzniesionych budowli od podatku od nieruchomości, od podatku dochodowego i pod. lokalowego, na przestrzeni określonego czasu.
- 2) Wyłączenie wymienione ulgi oraz wyłączenie z pod publicznej gospodarki lokalami, dotyczy jedynie mieszkań nowowzniesionych o powierzchni nie przekraczającej

80 m<sup>2</sup> względnie 90 m<sup>2</sup> odnośnie mieszkań odremontowanych.

3) Przewidziane możliwości ulg podatkowych pozwoli władzom planowania przestrzennego kierować inicjatywę prywatną na poszczególne tereny, zgodnie z planami odbudowy miast zniszczonych oraz z interesem gospodarki samorządowej.

Zwrócić jednak należy uwagę na to, że skuteczność tej ustawy na odcinku poprawy sytuacji mieszkaniowej oraz wciągnięcie destruktywnie działających kapitałów na naszą gospodarkę do pozytywnych procesów — zależy będzie głównie od ścisłego i nie biurokratycznego stosowania tych przepisów w praktyce dnia codziennego. (K).

Stanisław Podlewski

# Przemarsz przez piekło <sup>12)</sup>

## Ostatnie chwile Starego Miasta

### W AUREOLI MĘCZENSTWA I ZAGŁADY...

Noc z ostatniego sierpnia na pierwszego września, w porównaniu z upiorną ostatnią nocą była względnie spokojna.

Skoro tylko rozwidniło się i poranne mgły rozwiały się w słonecznych blaskach, nadleciały samoloty. Było ich znacznie więcej niż dotąd. Nadciągały fala za falą, systematycznie, co pół godziny na teren ograniczony już tylko kilku ulicami. Raz po raz następowało koncentryczne i jednoczesne uderzenia nieprzyjacielskiej piechoty na wszystkie odcinki obrony.

Najbliższe ulice kościoła św. Jacka na Freta zryte są pociskami, pokryte ogromnymi lejami i wyrwami — to znów zwałone wysokimi zwalami gruzu, Stare szczyrniałe kamieniczki patrycjuszowskie, poszarpane i porozrywane bielą się teraz ruinami.

Wielkiego kalibru bomby rozdierają na pół stary kościół św. Marcina, na Piwnej. Padają w gruzu kościoły SS. Sakramentek i Najświętszej Panny Marii tuż nad skarpek wiślaną — na Nowym Mieście. W podziemiach pod starymi sklepieniami tych świątyń, w wieże ufności w Boską opiekę, i w przeświadczeniu, że nieprzyjaciel pozostawi w spokoju te ruiny, szukało schronienia kilka tysięcy osób.

Tymczasem bomby przebiły i zawały stare sklepienia. Nastąpiła straszna masakra. Zwały gruzów przygniotły wszystkich. Nie opadł jeszcze kurz, gdy na ten odcinek ruszyło natarcie. Oddział ppor. Zgrzyta i pluton wypadowy kpt. Zaremby wycofuja się pod naporem do szpitala w kościele św. Jacka. Obsadzają korytarze, okna i przejścia.

Wśród tych zabudowań znajduje się mały domek, a w nim kwatery i dowództwo zgrupowania Trzaska. Trzeszczą tu i dygocą przy najmniejszym wybuchu ściany, więc też powstańcy nazywają domek „kurza stopka”.

Mała grupka powstańców gdzieś odchodzi. Naraz zza ciemnych zawieszin dymu wyłaniają się samoloty nurkowe. Zataczają koła wielkie, średnie i mniejsze, po czym z piekielnym świstem i gwizdem zaczynają się zniżać.

— Rany boskie — woła jeden z żołnierzy — patrzcie wałą na św. Jacka.

Nie dokończył tych słów, gdy uderza w niebo wysoki słup dymu, kurzu, kamieni i żelaza, a gdy ten nie zdążył jeszcze opaść, drugi, potem trzeci samolot zaczyna pikować. W dymiące kotłowisko gruzów rzucają nowy ładunek. Pod sklepieniami świątyni i w podziemiach leżeli pokotem, jeden obok drugiego ciężko ranni. Wałą się gotyckie sklepienia, ściany i nawy. Padają w gruzu sąsiednie domy. Znowu tysiące rannych znajduje straszliwą śmierć. Złazowana z wapnem krew ludzka wydaje jakiś zapach. Nawet tych niewielu cudem ocalałych — nie może się wydostać. Obstrzał granatników i broni maszynowej od strony północnej ruin kościoła jest tak wielki, że nie można się ruszyć, a od strony północnej zwały gruzów tak wysokie, że nie można przejść.

Ppłk Mściśław udaje się do dowództwa Warszawa-Północ, przedstawia beznadziejność sytuacji. Nadlatują znów eskadry sztukasów, na te same miejsca.

Por. Prymus melduje o sytuacji przez linię telefoniczną, która jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności jeszcze funkcjonuje.

Mjr Róg daje rozkaz, aby trzymać się, gdyż pozycja jest bardzo ważna, gdyż nie mogą jej sforsować czołgi ze względu na mocne barykady i wysokie zwały gruzów.

W pewnej chwili uderza Prymusa dziwna cisza. Nie słychać strzałów. Czyżby im zabrakło amunicji? Wychodzi na korytarz. Widzi ludzi z oddziału kpt. Zaremby. Opuścili swoje stanowiska bojowe. W oknach korytarza, siedzą koło rannych i o czymś głośno rozmawiają. Zapytuje zdziwiony co zaszło, kto wydał rozkaz opuszczenia stanowisk.

— Ranni panie poruczniku zażądali zaprzestania walki na terenie szpitala.

— Dlaczego?

— Coś tam mówią o prawie międzynarodowym.

— Oni chyba oszaleli. Czyż nie wiedzą, że Niemcy nie uznają żadnych praw?

Na rozkaz Prymusa stanowiska zostają znów obsadzone.

Ogień nieprzyjaciela trwa z niestabnym natężeniem.

Powraca ppłk Mściśław i zarządza zmianę miejsca postoju Dowództwa Zgrupowania na Długiej 7.

Kiedy dowódca przechodzi przez gruz, następuje nowy nalot na kościół św. Jacka. Wali się reszta sklepień i filarów.

Po przybyciu na miejsce otrzymuje meldunek od kompanijnego Kmicica, że nieprzyjaciel wdarł się do ulicy Nowomiejskiej. Nie ma żadnego odwodu. Zwraca się do ppor. Prokopa (Kaczorowski Roman) o wyznaczenie choćby małego patrolu. Natychmiast zbiera drużyna ze zdobyczym lkm, pod dowództwem ppor. Andrzeja; uderza i wypiera nieprzyjaciela.

W międzyczasie oddział Kmicica obrzuca granatami nacierających Niemców. Przy wejściu na Krzywe Koło, nieprzyjaciel uchodząc, pozostawia około 10 zabitych i wielu rannych.

Przy wsparciu czołgów Niemcy uderzają na Pasz Simonsa. Atak zostaje jednak krwawo odparty. Ponad stu Niemców pada zabitych.

### GDY JUŻ NIE STAJE NABOI...

Przed południem rusza silne natarcie na stanowiska powstańców w ruinach Kanonii i Świętojańskiej. Od razu można poznać Własowców — Kałmuków, Uzbeków, „wsiakują swolocz”. Oddziały ppor. Szczerby i ppor. Mierosławskiego z trudem osadzają ich na miejscu.

Około godziny 16-ej znów zrywają się z wyciem i krzykiem do natarcia. Spod hełmów widać twarze rozlane, jak zgnięta cytryna. W skośnych oczach strach i wściekłość. Wypierają powstańców ze stanowisk.

Mjr Róg z dowódcami batalionów i adiutantem patrzą z ruin domów na Nowomiejską, się z gruzów i rozspują się w gęstą tyralierę. Słychać jak zachęcają się wzajemnie dzikimi okrzykami, grupkami prą naprzód. Nie można ich powstrzymać. Wdarli się już w głąb Starego Rynku. Minęli kamienicę Fukiera. Coraz to powstańcy spoglądają na ruiny Krzywego Koła. stamtąd odezwać powinien się nasz k. m.; on zdoła ich osadzić. Został zasypany gruzem i teraz chłopcy czyszczą go w największym pośpiechu i podnieceniu. Czynią nadludzkie wysiłki, wiedzą, że w ich rękach spoczywa los Starówki. Kałmucy dotarli do połowy rynku. Naraz zaczyna śpiewać ognista anię nasz c. k. m. Zrazu krótkimi seriami, wyluskują ich wśród gruzów, coraz to ktoś pada plackiem, twarzą do ziemi. Wielu wie się w kałużach krwi, jakimś bełkotem wzywa o pomoc.

Natarcie załamało się. Coraz to zrywa się jakaś grupka i uchodzi do tyłu w czeleść ruin Świętojańskiej. Na rynku pozostało ich z górą dwudziestu. W najgorętszym momencie

natarcia dochodzą naszych oficerów odgłosy silnej kanonady na tyłach. Oto równocześnie ruszyło tuż za nimi natarcie nieprzyjaciela na stanowiska zgrupowania ppłk. Radosława.

Sytuacja stała się tragiczna, lecz natarcie załamało się w zdeterminowanej postawie naszych oddziałów.

Około godz. 18-ej walka ustaje. Kałmucy wycofuja się. Mierosławski może obsadzić barykady przy Świętojańskiej.

### NIE MA JUŻ O CZYM MÓWIC

Oddział osłonowy z batalionu Wojskowej Służby Ochrony Powstania z por. Zgrzytem i ppor. Murzynem (Prusinowski Robert) tkwią na stanowiskach. Por. Dzik, dowódca tego batalionu, zapytuje ppłk. Mściśława:

— Panie pułkowniku, czy są jakie rozkazy? — Nie ma o czym mówić... Niech pan pali piję...

Mir Róg zarządza odprawę. W milczeniu zjawiają się dowódcy jego zgrupowania; ledwie trzymają się na nogach, zwierzęco zarośnięci, brudni. Wiedzą, że chwile Starówki są już policzone. Czują się jak skazańcy w ostatnią noc przed egzekucją. Padają lakoniczne pytania... Odpowiedzi urywane, skąpe, zawarte w jednym wyrazie. Żadnego zbytecznego słowa.

Obliczają stan amunicji karabinowej: jest od 8 do 10 sztuk na strzelca. Na „peem” po jednym magazynku. Co piąty strzelec ma jeden granat, w najlepszym razie dwa.

Major nie wydaje już żadnych bojowych rozkazów. Nie ma o czym mówić. Wszyscy rochodzą się w grobowym milczeniu, ze zwieszonymi głowami. Wiedzą, że muszą zginąć.

Major wychodzi do chłopców. Zawsze czuł się wśród nich najlepiej. Jeśli ma już zginąć,

to razem z nimi. Przy barykadzie na Piwnej głęboka, przejmująca cisza. W przedziwnym skupieniu obliczają chłopcy swoją amunicję. Mają już tylko po dziesięć sztuk. Major stanął bez słowa obok nich.

— Po jednym dla nas wystarczy — odzywa się jeden z chłopców.

Major wie, że żaden z tych młodych obrońców nie cofnie się stąd, to ich „ultimum refugium” — tę ostatnią kulę przeznaczyli dla siebie.

Naraz nadbiega adiutant ppor. Jędrak (Maddanowski) Major jest wezwany do telefonu przez płk. Wachnowskiego.

— Jakże pan wydał rozkazy?

— Przygotowany jestem do odparcia rano natarcia, mogę utrzymać się do 7 rano (zwykle około 6 rano nieprzyjaciel ruszał do akcji), a więc tylko godzinę.

— Proszę pana majora do siebie.

Dowództwo „Warszawa-Północ” znów powróciło do gmachu Archiwum Głównego, na Długiej.

Dowódcy zapoznają się z rozkazami o ewakuacji.

W pewnej chwili płk Wachnowski zapytuje mjra Róga:

— Ile pan potrzebuje czasu do zabrania ludzi i przeprowadzenia ich do wjazdu?

Major patrzy rozszerzonymi oczyma. Dwa razy musi postawić mu pytanie — nie może zorientować się o co chodzi.

### DO WŁAZU KANAŁU

Nieprzerwany strumień ludzi wciąż płynie ze wszystkich stron. Przebiegają przez otwartą przestrzeń, wykorzystując krótkie przerwy między seriami i wybuchami granatników. Z największym trudem docierają pod ogień nieprzyjaciela do domów w najbliższym sąsiedztwie wjazdu do kanału.

Por. Dzik prowadzi niewielką grupę swoich ludzi i około trzydziestu chłopców z Armii Ludowej.

Idą kolumny jeńców niemieckich. Eskortuje ich straż z peemami.

Coraz trudniej dostać się do piwnicy przy wjazie. Drogi znaczone są trupami kobiet i dzieci. Nie ulega wątpliwości, że obserwatorzy lotnicy dostrzegli ogromne skupienia ludności, a szpiedzy donieśli o zamiarze przejścia do śródmieścia. Zapewniają się wszystkie podwórza, ruiny, schrony i piwnice spalonych domów na Długiej, na placu Krasieńskich, obok Kina Miejskiego. Posterunki nie mogą powstrzymać tej ludzkiej lawiny. Pierwszeństwo mają ranni i powstańcy. W pobliżu domu na Długiej 24, obok Sądu Apelacyjnego znajduje się wjazd. Trzeba najpierw dostać się do tego domu, przez podziemia. Przez wybite otwory w piwnicach i korytarzach wielu domów, rzymając się linki, wchodzą ludzie pod ziemię. Niosą rannych, prowadzą tych, którzy jeszcze mogą iść o własnych siłach. Z bramy tego domu prowadzi płytki wykop-rów dubiegowy, obramowany płytami chodnikowymi. Są one pokruszone i rozbite od granatników. Wjazd otoczony jest workami z piaskiem, helami jakiegoś materiału, tobołkami i najróżnorodniejszymi pakunkami, wyrzucenymi w ostatnim momencie przed wejściem. Zdał czyni to wrażenie jakiegoś wulkanu. Po obu stronach tego rowu leżą trupy, ściany znaczone są krwią, aż lepią się od nich ręce. (c. d. n.).

Przyszły numer „Dziś i Jutro” ukaże się w zwiększonej objętości i poświęcony będzie 3-ciej rocznicy wybuchu POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

